





301







JAN KARCZEWSKI

# ROK PRZESTĘPNY

TEGOŻ AUTORA:  
BAKCYL, powieść, 1931



W A R S Z A W A  
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“



ODBITO 2200 EGZEMPLARZY  
NUMEROWANYCH

№ 1751 \*



DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

643306

15.88/91

I.

TROCĘ HISTORJI.

Żeby mnie nawet sam pan sędzia śledczy pytał, nie powiem gdzie się znajduje piękny kraj, zwany Platanją, powiem, że nie chcę, nie wiem i wogóle proszę odczepić się odemnie, pod tym względem.

Wzamian pytań w tym rodzaju służę w razie zapotrzebowania szeregiem adresów jak: Długa 52, Dzika, Mokotów, areszt centralny przy Danielewiczowskiej i inne.

Mogę natomiast powiedzieć, że Platanja sąsiaduje z północy z Bolszewją, z zachodu z Niemcami, na innych odcinkach granicy z Panurgją, Pantagriuelją, Bramtomją i Aretenją. Platanja posiada trzydzieści milionów mieszkańców, większą ilość skarbów naturalnych w głębiach ziemi (niewyeksplutowanych) i skarbów moralnych w duszach obywateli (wyeksplutowanych).

Piękny i szczęśliwy ten kraj obaliwszy w pierwszej połowie XX stulecia, ambitną i despotyczną dynastję



Mściwojów, ugruntował u siebie ustrój republikański i, mimo pewnych tarć i trudności w pierwszym dziesięcioleciu, posiadał ustrój będący wzorem i przyczyną za-zdrości sąsiadów.

Stary król Mściwoj XI zdołał unieść z chaosu rewolucji, która obaliła jego tron, jedynie wspaniałą kolekcję zegarów, których był namiętym miłośnikiem i zamieszkał w Anglii, wraz z synem jedynakiem niedoszłym Mściwojem XII.

Na tym fakcie kończy się historia dynastji i gdyby nie pewne zdarzenia, nie miałbym potrzeby wracać do niej, aż do końca niniejszej opowieści. Musimy natomiast zaznajomić się bliżej z procesem tak zwanej stabilizacji personalnej, która jak to już wspomniałem nastąpiła dwunastego roku ery republikańskiej.

Platanja przeszła wówczas kryzys, właściwy zresztą wielu ustrojom demokratycznym, polegający na tem że po wyborach do parlamentu, które dały druzgoczącą większość stronnictwu agrarjuszy, rozpoczął się atak na osobę Prezydenta Republiki, wybranego na ten wysoki urząd głosami narodowych liberałów.

Teoretycznie biorąc agrarjusze nie mieli najmniejszej racji atakując osobę Głowy Państwa. Konstytucja Platanji przewidywała najwyraźniej, że Prezydent jest osobistością nadrzędną i konstytucyjnie nieodpowiedzialną, fatalny jednak przykład losów prezydenta

Milleranda, (którego wzorowy pod względem autentyczności wykładni republikańskich parlament francuski, obalił w głosowaniu jak zwykłego prezesa rady ministrów) zdecydował i prezydent Platanji oskarżony o stronnictwość na rzecz dawnej większości liberalnej, nie widział innej już drogi przed sobą, jak rezygnację...

Ciężka to była noc. Prezydent z kanclerzem, dziś już w stanie dymisji, siedzieli na tarasie zamkowym, wisiącym malowniczo nad rzeką. Wdali, na przedmieściach Arga, błyszczały na ciemnym tle drzew i domów szereg latarni odbijając się w wodzie.

Po rzece sunęły statki pełne wycieczkowiczów, słychać było dźwięki orkiestr i dalekie okrzyki...

Kanclerz milczał, patrząc w przestrzeń.

Prezydent mówił, mówił raczej do siebie niż do kanclerza, snując głośno myśli...

— Więc dobrze, zgodzę się nawet z tem, że stałem się w przeciągu trzech miesięcy tyranem, będąc przedtem najdostojniejszym przedstawicielem itd. Doskonale! Wszystko to bardzo ładnie, zgodzę się na to tem bardziej, że mimo całej obiektywności jestem bądź-co-bądź żywym człowiekiem i posiadam — jak by nie było — własny, niezależny sąd w wielu kwestjach.

Nie chodzi mi więc o tę zawiść, z jaką traktują mnie obecnie, ale zastanawiam się, co stanie się z tą biedną Platanją po mojem ustąpieniu?



— Zobaczmy — wtrącił kanclerz.

— Zobaczmy, bardzo w to wierzę, że zobaczymy, ale niech pan, panie kanclerzu wyobrazi sobie co to będzie. Ja jestem właściwie przekonany, że precedens mój spowoduje prędzej czy później zmienianie osoby Prezydenta, tak, jak obecnie zmieniane są gabinety i ministrowie?

— Może to właśnie będzie dobrze, — wtrącił znów kanclerz, którego przeżycia ostatnich paru dni wyczerpały do tego stopnia, że gotów byłby ugodzić się z każdym, ktoby mu tylko zapewnić potrafił możliwość dłuższego urlopu.

— Nie może być dobrze, panie kanclerzu, nie może być dobrze! Ustrój republikański polega właśnie na tem, że zmieniają się jedynie ministrowie, prezydent zaś jest nadrzędny i stanowi wśród walczących z sobą tez i kierunków element stały, zabezpieczający maszynę państwową przed zbyt gwałtownymi odchyleniami i wstrząsami.

W dzisiejszych warunkach jest to prawie niemożliwe, bo do człowieka z wyboru roszczą sobie wyborcy najfantastyczniejsze uprawnienia i biorące rzecz idealnie, przypuszczam, że najlepiej byłoby, by demokracja przygotowywała kandydatów na prezydentów w specjalnych warunkach wychowania, gdzie, wolni od wszelkich wpływów zewnętrznych, mogliby swobodnie

przygotowywać się do swej przyszłej roli czynnika uprzywilejowanego, a jednocześnie absolutnie wolnego od wszelkich zależności... ot jakiś idealny typ *homo civilis*, czy *homo politicus*, tak jak ekonomja stworzyła *homo economicus* itp. Niestety jednak, system ten byłby mało różny od monarchji, z którą udało się szczęśliwie zerwać naszej ojczyźnie. Co to będzie? Co to będzie?

— Co ma być! — odparł kanclerz, w którego wstąpiła z nagłą energją. — Przejdziemy teraz do opozycji, opozycja jest zawsze łatwiejsza, zwalimy agrarjuszy, uzyskamy większość w następnych wyborach i odzyskamy zpowrotem władzę. A gdy władzę odzyskamy, trzeba będzie zatroszczyć się o takie zmiany konstytucji, by dalsze zmiany na stanowisku prezydenta w czasie kadencji były raz na zawsze uniemożliwione.

— Bardzo to pięknie, panie kanclerzu, ale czy nie wydaje się panu możliwym, że skoro po okresie opozycji ze strony stronnictwa narodowo-liberalnego, to znowu dostanie się do władzy; agrarjusze znalazłszy się w opozycji wyteżą wszystkie siły, by powtórzyć nasz manewr. I co wtedy?... nastąpi niesamowite perpetuum mobile zmian i zmian bez kresu... Przekładaniec osób, założeń i wpływów rozbijający państwo od wewnątrz, osłabiający jego znaczenie międzynarodowe, niszczący wszelką dalszą inicjatywę i program...

Z za murów otaczających tarasy zamkowe doleciał



gwar... naprzód daleki, urywany, stopniowo coraz bliższy, potężniejszy. Manifestacja...

Przez jasno oświetlone, weneckie drzwi gabinetu wbiegł adjutant.

— Panie prezydencie, melduję, tłum zbliża się do zamku. Policja zamknęła dostępy do placu, ale mam wrażenie, że występuje miękko, gdyż na czele pochodu znajduje się grupa posłów.

— Dobrze, dziękuję panu, — odparł prezydent — poczem przechyliwszy się ku kanclerzowi ciągnął dalej. — Jeszcze jedna smutna ilustracja systemu: nawet niżsi urzędnicy drżąc o swoje posady starają się o jakąś asekurację, zgadują kto zwycięży, spiskują lub urządzają drobne sabotaże na własną rękę. Nie chodzi mi już o jakąś wysoką etykę, ale naturalna samoobrona jednostek rozkłada całość, łamie i dezorganizuje. — Prezydent zamilkł, opuścił głowę i wpadł w zadumę...

Sytuacja rzeczywiście nie była łatwa. Parlament, ta najwyższa w swej wszechwładzy instancja republikańska, postawił sprawę jasno i rzucił hasła. Ulica hasła podchwyciła, manifestacja dążyła najwyraźniej do doraznego osiągnięcia końcowych efektów.

— Niech żyje konstytucja!!!

— Precz z prezydentem!!!

— Precz!!! Niech żyją agrarjusze!... Niech żyją! — Słysząc było coraz wyraźniej...

Exkanclerz porwał się z miejsca.

— Idę do telefonu, zażadam od dowódcy garnizonu alarmu oddziałów przybocznych.

Prezydent pokiwał głową:

— A jak się nie posłucha?

— Dlaczego? — skoczył exkanclerz — przecież mam powierzone pełnienie funkcji aż do mianowania następcy... — poszedł, ale widać było, że wątpliwość narzucona uwagą głowy państwa nurtować go zaczęła...

Prezydent pozostał sam. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że zbliżały się ostatnie chwile jego władzy. Prezydent nie miał sobie wiele do wyrzucenia. Będąc gorącym zwolennikiem stronnictwa liberalnego, dał się uprosić przyjaciółom i porzucił cichą katedrę matematyki w prowincjonalnym uniwersytecie, by stanąć, jak się to mówi, na czele państwa. Stał, bo stał. Wizytował ochronki, objeżdżał departamenty nawiedzone powodzią, przecinał wstęgi na wystawach dużych i małych, uśmiechał się do wytużurkowanych delegacji i wysłuchiwał niezliczonej ilości przemówień, w których wszyscy mówcy, czerpiąc pełną garścią ze słownika byłej monarchji, manifestowali zawzięcie swe: oddanie, zachwyt, szczęście itp. na widok najdosłojniejszego, najszanowniejszego, niemal nie „najjaśniejszego“ przedstawiciela. Co pewien czas zmieniający się kolejno na stanowisku kanclerza przedstawi-



ciele stronnictwa, przynosili mu do podpisu różne akta, zamykał więc i otwierał izby, zmieniał gabinety, odwoływał ambasadorów i słał depesze gratulacyjne z powodu szczęśliwego rozwiązania średniej ciotki cesarza NIPU...

Tego wszystkiego wymagała od niego konstytucja. Wszystkie wymienione uprzednio akty niosły podpisy ministrów odpowiedzialnych przed wolą ludu. Jeżeli w kwestjach spornych lub niejasnych przechylał szale decyzji własnym autorytetem, to autorytet ten został przecież uznany przez Zgromadzenie Narodowe, jako najwyższy w państwie i właśnie powołany do takich rozstrzygnięć. A zresztą, jak bardzo skromny był zakres, w którym wolno mu było inicjatywę okazać. A dziś, ot co tu dużo gadać! No trudno, był liberałem, człowiekiem stronnictwa i chociaż starał się jak najobjektywniej balansować pomiędzy nastrojami ugrupowań partyjnych, nie umiał widocznie wyprać chemicznie z siebie całej przeszłości. Tembardziej, że właśnie tej przeszłości zawdzięczał chlubny wybór.

W drzwiach gabinetu ukazał się powracający ex-kanclerz. Chudy, zacięty pan, nawet w chwili upadku gabinetu umiał wytrzymać linję. Był nieugięty, tem bardziej więc musiało zdziwić prezydenta zachowanie się dostojnika. Ex-kanclerz szedł tyłem, wpatrzony w drzwi, szedł na palcach, ostrożnie stawiając kroki...

prawą ręką zamykał sobie usta, a lewą dawał znaki milczenia.

— Co się stało?

— Panie prezydencie, psss.... ciiiicho....

— Co się stało?

— Ciiiicho... panie prezydencie, jeśli mnie wzrok nie... nie... myli... to w dniu dzisiejszym.., to słowo daję, że jestem przekonany, że dzień dzisiejszy — jest ostatnim dniem republiki w Platanji.

— Czyżby Siwiec? — spytał prezydent.

— Nie, Siwiec właśnie prowadzi stulysięczną manifestację do zamku, ale, panie prezydencie, nie, nie powiem, niech pan lepiej idzie sam do swego gabinetu. Boję się, że gdyby człowiek, którego widziałem, zawie-ruszył się przez tę chwilę — miałby mnie pan za szaleńca.

— Nic nie rozumiem — szepnął prezydent, — ale chodźmy.



## II.

### PRZYBYSZ.

Gabinet prezydenta Rzeczypospolitej składał się z dwóch części. Wykusz od strony tarasu dzieliła portjera od sali, będącej miejscem pracy reprezentanta narodu. Wykusz był oświetlony. W gabinecie panował cień, gdyż jedyna płonąca lampa na stole, zaopatrzona była w patentowany klosz „rekord“ koncentrujący, ku zaoszczędzeniu oczu pracującego, światło jedynie na papierach. Mimo to jednak prezydent i ex-kanclerz ujrzeni w półmroku sylwetkę człowieka, spoczywającego na fotelu koło nieczynnego kominka.

— On — szepnął ex-kanclerz.

— On — potwierdził prezydent.

Tymczasem nieoczekiwany przybysz usłyszeć musiał szmer kroków obu dostojników za kotarą, gdyż podniósłszy się z fotela skierował się ku tarasowi. Spotkanie było nieodwołalne. Prezydent nie chcąc, by ktoś go mógł przyłapać na sytuacji, dwuznaczej w każdym razie, krycia się za zasłoną, zdecydował się pierwszy,

nabrał pełne płuca powietrza i postawił duży, wymierzony krok naprzód. Za nim podążył ex-kanclerz...

...Znalazłszy się przed portjerą stanęli obaj — zatrzymał się też i przybysz.

— Paniel jak wobec obowiązujących w Platanji, od lat trzynastu ustaw, mam rozumieć twoją tutaj obecność? — spytał prezydent. — Nadmienię, że układ zwrotu i technika jego wypowiedzenia była pięknym dowodem czteroletniej praktyki reprezentacyjnej.

Mimo jednak tak oziębłego powitania, przybysz nie okazał zdziwienia.

— Drogi profesorze, zainteresowałem się sytuacją, w jakiej się pan ostatnio znalazł. Przyjechałem, trudno, może nawet coś ryzykuję, gdyż rzeczywiście stosownie do ustaw obowiązujących pobyt mój w granicach republiki jest ciężkiem przewinieniem — trudno, schylę zawsze głowę przed uznanym za słuszny przez ogół porządkiem. W kwestji przedostania się mego nietylko do kraju, ale i do wnętrza zamku, to chcę podkreślić, że działałem absolutnie bez niczyjej pomocy wyłącznie wykorzystując dokładną znajomość środowiska i terenu, gdyż — nie zdziwi to pana — do dnia dzisiejszego czuję się w tych murach zupełnie swobodnie, prawie, że u siebie w domu.

Niech pan uspokoi pana kanclerza, że nie mam najmniejszego zamiaru wyciągać, z tego co powiedziałem,



żadnych dalszych wniosków, żadnych a żadnych. Przyjechałem, bo chciałem porozmawiać z panem o przyszłości tego kraju i przypuszczam, że zwłaszcza wobec rzeczywiście cokolwiek trudnej, jak się orjentuję, sytuacji, może to być pożyteczne.

Prezydent spojrział na ex-kanclerza, ex-kanclerz spojrział na prezydenta.

— Panie prezydencie, muszę, czuję się w obowiązku zaznaczyć — powiedział kanclerz, — że grozi nam w tej chwili ostateczna kompromitacja. Gdyby ktośkolwiek ze służby, nie mówię już o sympatykach opozycji, zobaczył nas w tej sytuacji, bylibyśmy zgubieni w opinii publicznej. Ustawa z pierwszego roku republiki, uznała Mściwoja XI wrogiem państwa i wyjmuje go z pod prawa, w chwili przekroczenia granic Platanji, przewiduje ona również szereg najostrzejszych represyj w stosunku do wszystkich tych, którzy udzieliliby jakiegokolwiek pomocy lub chociażby tylko wiedząc o jego pobycie zaniedbali zawiadomić organów bezpieczeństwa.

Jakby dla ilustracji słów powyższych załamami murów targnął znów okrzyk szalejącej pod zamkiem manifestacji.

Precz!... precz!... HUUUUUUU!!!...

HUUUUUUU!!!... precz!... precz!...

HUUUUUUU...

Prezydent machnął ręką:

— Nie mamy nic do stracenia. Pozwól, panie, że przejdziemy z powrotem na taras, tam będziemy mogli jeszcze najswobodniej pomówić o sytuacji.

I na opróżnionych przed chwilą miejscach zasiedli teraz już we trzech ex-król, ex-premjer i „jeszcze“ czynny prezydent Platanji... Rozpoczęła się historyczna rozmowa.

— Panie profesorze, panie premjerze — zwrócił się ex-król do zatroskanych dygnitarzy, — mieszkając na obczyźnie stale interesowałem się sprawami mego kraju...

— Platanji, — wtrącił ex-premjer.

— Mego kraju, Platanji, jeśli pan tak woli, panie kanclerzu. I mimo tego, że konstytuanta republikańska uznała mnie za tyrana, wroga ludu i o mało co nie za sinobrodego, spędziłem wiele czasu nad obmyśleniem systemu, któryby pozwolił zapewnić naszym instytucjom maximum pokoju i stałości. Udało mi się dokonać pewnego odkrycia, stworzyć pewien system, że tak powiem, który powinien zapewnić dobrym poddanym...

— Obywatelom, — wtrącił ex-kanclerz.

— Obywatelom, jeśli pan woli, maximum pewności, że Konstytucja i ustawy, postanowione przez ich przedstawicieli będą wykonywane z maszynową, automatyczną, ściśle mówię, dokładnością. Moment bieżący



wyduje mi się odpowiedni do wprowadzenia w życie tego pomysłu.

— Bez wątpienia odpowiedni — z niedostrzegalną ironją wtrącił prezydent.

— Tak! Chodzi mi o to, że trzebaby tu zaraz sprowadzić tego Siwca, który ma jak mi mówiono z agrarjuszami większość w izbie.

— Siwca??

— No tak. Przecież z nim właśnie musimy się naradzić co do osoby pańskiego następcy, panie profesorze, bo jak się orjentuję ustąpienie pańskie jest już, tak czy inaczej, przesądzone.

Obaj dygnitarze zapadli w milczenie.

— Niemożliwe jest tu teraz sprowadzić Siwca, przecież to byłby klasyczny świadek oskarżenia gdyż w myśl ustawy o ochronie republiki — próbował perswadować prezydent.

Lecz Mściwoj XI nie dał mu dokończyć.

— Złotus, właśnie idzie o republikę. System wynaleziony przezemnie jest bardziej republikański od samego Thiersa. Jestem pewien że argumenty moje przekonają zarówno panów jak i Siwca i poprostu ze względu na ekonomję czasu wolałbym ograniczyć się do jednej wspólnej rozmowy, zamiast konferować z wami, z nim, a potem dopiero razem.

Obaj dostojnicy ustąpili, cała trudność polegała na

sprowadzeniu Siwca do zamku. Leader agrarjuszy był chytry jak lis i w każdym, a zwłaszcza tak nieoczekiwanym, kroku przeciwników politycznych, mógł zwietrzyć podstęp i wykręcić się sianem. Wysłunięto parę możliwości, ale wszystkie wydawały się dość trudno wykonalne, zwłaszcza wobec gorączkowości nastrojów i braku czasu.

Dyskusję przerwał ex-król.

— Kto jest dzisiaj dyżurnym adjutantem?

— Rotmistrz Bergen.

— A, hrabia Ludwik Bergen, to doskonale się składa, znam go jeszcze z korpusu paziów i jestem najzupełniej pewny zarówno jego dyskrecji jak i pomysłowości. Przypuszczam, że najlepiej będzie zostawić mu swobodę jak i co... Niech się orjentuje w możliwościach chwilowej konjunktury i zależnie od sytuacji wybierze właściwą formę.

Przekonany, prezydent nacisnął guzik dzwonka. Po chwili w oświetlonych drzwiach pojawił się rtm. Bergen.

Jeżeli przedtem obaj dostojnicy nie chcieli wierzyć własnym oczom, to tem bardziej teraz były gwardzista osłupiał na widok swego byłego władcy.

— Najjaśniejszy pan — wyszeptał prężąc się, aż zatrzeszczały sprzączki pasa.

Ex-król rzucił spojrzenie na prezydenta i rozpoczął,



przechylając lekko głowę do tyłu, jak to było w jego zwyczaju.

— *Cher comte*, tu obecny pan prezydent, — ex-król poraz pierwszy i to wobec podwładnego użył tego terminu, — pan prezydent pozwolił mi skorzystać z pańskich usług.

— *Oui, Sire*.

— Uda się pan natychmiast na miasto i sprowadzi tu, pod łada rozsądnym pretekstem, pana Siwca. Rozumie pan?

— Tak jest.

— Jeszcze jedno, rozmawia pan obecnie z hrabią Mestwinem obywatelem wielkobrytyjskim, który został upoważniony do udzielenia pewnych rad technicznych, rządowi republiki platańskiej. Skończyłem... Czy ma pan jakieś wątpliwości?

— Nie, — z przekonaniem zameldował hr. Bergen, brząkając dyskretnie ostrogami dla upewnienia się czy scena rozgrywająca się przed jego czami nie jest senną halucynacją. Prezydent z wdzięcznością spojrział na ex-monarchę, w chwili gdy rotmistrz znikł za drzwiami.

— Hrabia jest wzorowym adjutantem — powiedział — kilkakrotnie w prywatnej rozmowie dzielił się ze mną swymi wspomnieniami o Jego Królewskiej Mości... Bardzo go cenię.

— O tak! — potwierdził Mściwoj.

### III.

#### SIWIEC.

Odnalezienie Siwca nie było zadaniem zbyt skomplikowanym, tryumfalny wódz zwycięskich agrarjuszy znajdował się wśród manifestacji.

Prezydjum wiecu, który odbył się w kinie Ermitaż, udało się na czele pochodu, tak jak to było postanowione w programie, pod gmach parlamentu... i tam z balkonu, Siwiec złożył ludowi przysięgę, że „słuszne żądania“ najszerzych mas zostaną wypełnione co do joty.

„Wszelki opór zostanie złamany, niegodni muszą odejść skąd przyszli, a kraj nasz musi nareszcie zaznać praworządności i ładu, którego tak potrzebuje“.

Po przemówieniu przygotowana zawczasu grupa robotników fabryki „Jowisz“, chwyciła Siwca „spontanicznie“ na ramiona i, niosąc go wśród okrzyków i wiewatów, skierowała się w stronę zamku.

Właściwie biorąc, według wszelkich praw ludzkich i boskich teraz właśnie był najodpowiedniejszy moment



do generalnego ataku i zatknięcia na ostatniej twierdzy liberalów sztandaru zwycięstwa agrarjuszy. Siwiec jednak był zbyt starym i wytrawnym politykiem, by pójść na takie pozornie proste rozwiązanie.

Toteż, gdy pochód zbliżył się do Zamku, dał znak i wkroczywszy na samochód ciężarowy z dużą platformą, który dziwnym przypadkiem znalazł się pod ręką, rozpoczął przemowę...

Chodziło o to, że stronnictwo agrarjuszy w agitacji przedwyborczej, użyło wszelkich możliwych i niemożliwych argumentów by przedstawić swoim wyborcom istny raj na ziemi, który po ich zwycięstwie zapanuje. Teraz, gdy głosy były już oddane, należało jak najprędzej stworzyć podstawę do odrotu z nazbyt fantastycznych awansów. Płacenie weksli politycznych wystawionych masom jest sztuką; niejeden początkujący mąż stanu załamał się w takiej chwili będąc zmuszony ogłosić bankructwo.

Wytrawni znawcy demagogofji radzą w takich razach przeprowadzić konwersję zobowiązań, przeciwstawiając cele ponętne jeszcze ponętniejszym, lub też dążyć do prolongaty, warunkując możliwość wprowadzenia reform od zmiany takich czy innych okoliczności, na przykład od ewolucji pojęć etycznych w społeczeństwie lub coś w tym, dość nieuchwytnym, rodzaju.

Siwcowi, oczywista rzecz, wykolejenie się w pierw-

szej fazie sukcesu nie groziło, był mówcą, mówcą urodzonym. Jeszcze w ś. p. austriackim c. k. parlamencie, umiał wyciskać samą modulacją głosu łzy z oczu, nie umiejących słowa po niemiecku, chłopów rumuńskich.

„Kraj nasz na przestrzeni wieków... Sprawiedliwość dziejowa wreszcie zatriumfowała... I cóż, pytam się, potrzebuje ten biedny człowiek, szary obywatel? Spokoju, chleba... chleba dla wszystkich... Któż z nas jest bez winy?... Prawdziwie lepszego jutra doczekają może synowie nasi... a nam wypada jeno pracować i pracować, ze świętą wiarą w lepszą przyszłość“.

Sluchacze płakali, jedni patrząc na tego starca z rozwianą siwą czupryną; inni czując, że murowane bliskie, tuż, tuż hasła agrarjuszy, oddalają się gdzieś, w daleką perspektywę, ginąc chwilami w różowej zorzy świetlistego widnokregu.

„My, słabi ludzie — śpiewał Siwiec, — słabi ludzie, wyteńczyć dziś musimy wszystkie siły nasze, by osłonić, osłabioną rządami liberalów, ojczyznę przed naciskiem państw ościennych, które jakkolwiek są dziś w stosunkach przyjaznych lub lojalnych ale widząc szerzącą się u nas samowolę i anarchję mogłyby poczuć chęć do agresji...“ „R“ w agresji zakcentował Siwiec jak warknięcie głodnego tygrysa.

— Precz z Pan-ta-gru-elją! — podniósł się ryk tłumów. Efekt chwycił, należało go jedynie zacieniować.



— ...Zgodnie żyć będziemy ze wszystkimi sąsiadami, ale należyty szacunek zyskać potrafi tylko naród SILNY, — wołając to chwycił oburącz zielony sztandar stronnictwa.

— Niech żyje NARÓD! — wrzasnął.

— Niech żyje Siwiec! — odpowiedział upojony tłum.

Siwiec dał znak, robotnicy fabryki „Jowisz“ zbliżyli się do samochodu, by spontanicznie chwycić go na ramiona, gdy wtem, poprzez morze głów, przeszedł szmer, dreszcz, pomruk.

— Ułani prezydenta.

— P r e c z!

— Na bok. D r o g a! Na bok — komenderował dowódca oddziału.

— Przepuścić! — ryknął Siwiec, z mównicy, orjentując się doskonale, że dwudziestu ułanów jest siłą nic nie znaczącą, wobec czterdziestotysięcznej manifestacji, rozpalonej do czerwoności wielogodzinnym wrzaskiem.

...Orszak, składający się z półplutonu ułanów przybocznych prezydenta pod wodzą popularnego w mieście rotmistrza Bergena, zbliżał się wolno do improwizowanej mównicy. Pośrodku eskorty widać było karetę reprezentacyjną, zaprzęzoną w bułanki.

Rotmistrz Bergen zasalutował Siwca szablą.

— Pan prezydent prosi na Zamek.

Siwca stropiło tak nieoczekiwane zaproszenie, czyż-

by, kryła się w tem jakaś zasadzka? Jeśli nie w znaczeniu dosłownem, to taktyczno-politycznem, — przebiegło mu przez głowę.

Trudno i niezręcznie było mu tu wśród rozfalowanego tłumu wdawać się w dyskusję z hr. Bergenem. Siwiec, nie widząc jednak innego wyjścia, przechylił się przez balustradę improwizowanej trybuny i schyliwszy się do ucha adjutanta spytał półgłosem.

— Niech pan mi powie co to znaczy, poco wzywają mnie na Zamek?

— Dokładnie nie wiem, ale muszę panu powiedzieć, że w ciągu ostatnich godzin zaszły w państwie rzeczywiście bardzo ważne zdarzenia i niezależnie od tego co widzimy, — rotmistrz gestem wskazał manifestantów, — zachodzi konieczność powzięcia decyzji, w której opinja pana, panie prezesie, została uznana za niezbędną.

Siwiec wahał się widocznie. — Może będą usiłować, strasząc sytuacją międzynarodową, skłonić go do ustępstw... połowiczności... Nie!

— Słowo panu daję, — perswadował Bergen, — że sprawa jest istotnie ważna. Przypuszczam zresztą, że jakkolwiek teraz będzie krok pana — wyglądał trochę dziwnie — to w każdym razie będzie można *post factum* stworzyć jakieś dogodne omówienia. — Potem, jak mu się zdawało niepotrzebnie, dodał że prezydent rzeczypospolitej nie może mieć żadnych podstępnych pla-



nów zapraszających Siwca, gdyż jak się orjentuje, kwestja rezygnacji jest już zdecydowana.

A właśnie to przekonało Siwca.

— Niech pan chwilę zaczeka, zaraz idę.

— Obywatele! — zwrócił się do tłumów. —

Obywatele, dla ukoronowania naszego zwycięstwa idę na Zamek, gdzie złożę ultimatum w imieniu milionowych rzesz, które reprezentujecie.

(Okrzyki) — Niech żyje Siwiec!

— Obywatele, niech przez ten czas mury do których się udaję drżą od naszej zwycięskiej pieśni...

Na to wezwanie Pyrka, generalny sekretarz agrarjusz, zaintonował:

*„Lud chce swobody, swobody żąda...  
Panowie piją krew ludu“.*

Poprzez cizbę głów i las związkowych sztandarów zerwała się pieśń. Starcy, kobiety, dzieci, wszyscy upojeni wielkością chwili — śpiewali...

*„Piją krew ludu,  
Piją pot pracy,  
Niepomni męki i tru-u-du...“*

— Jedziemy, panie prezesie, — szepnął hr. Bergen, krzywiąc się nieznacznie, gdy, jakkolwiek był panem

i to panem całą gębą, proponowane menu z „krwi i potu“ nie odpowiadało mu w zupełności.

— Jeszcze chwila, panie rotmistrzu. — Siwiec dał znak i robotnicy fabryki „Jowisz“ „spontanicznie“ odpręgli zamkowe bułanki, poczem chwyciwszy dyszel pociągnęli powóz w kierunku Zamku. Przed i za powozem zajęł miejsca półpluton ułanów, których konie, popychane przez rozentuzjasmowany tłum, usiłowały pogryźć się wzajemnie, lub kopnąć kogokolwiek co oczywiście byłoby jednym jeszcze dowodem, że nietylko prezydent, ale i jego najbliższe otoczenie przesiąknięte jest nawskróś ideami antikonstytucyjnymi.

Triumfalny przyjazd Siwca na zamek dał jeszcze ten plus taktyczny manifestantom, że z chwilą gdy kordon policji rozstąpił się by przepuścić orszak, tłum wdarł się teraz na plac i dopiero w bezpośredniej bliskości tarasów udało się go zatrzymać. W tumultu i zamieszaniu, jakie teraz nastąpiło, policjanci najzupełniej bezsilni starali się jedynie nie nadstawiać zbyt pleców pod kulaki...

Ciężko otwarły się wielkie podwoje bramy zamkowej, otwarły się jak paszcza smoka. Otwarły się i zamęły, przelknawszy jak gdyby: ułanów, powóz ciągnięty przez robotników fabryki „Jowisz“ i Siwca, Siwca, w którego rękach spoczywał teraz los republiki...

Rotmistrz Bergen przeprowadził zwycięskiego przy-



wódcę do pokojów prezydenta. Nastąpiła mała chwila oczekiwania w czasie której adjutant udał się do głowy państwa zameldować przybycie lidera agrarjuszy.

Siwiec korzystając z samotności podszedł do okna i otworzył je szeroko, do pokoju ze wzmoczoną siłą wtargnęły śpiewy i okrzyki manifestantów.

O to właśnie chodziło. Siwiec umiał wywoływać efekty i wykorzystywał ich działanie do najdrobniejszej okruszyny.

Drzwi od gabinetu otworzyły się znowu. Wyszedł z nich kurtuazyjnie zaznaczając swe zadowolenie z przybycia przeciwnika sam pan prezydent republiki.

— Dzień dobry panu, panie prezesie.

— Dobry wieczór, czemu mogę przypisać zaszczyt tych zaprosin? — Prezydent republiki zrobił tajemniczy gest.

— Ważne sprawy. Śmiesznie powiedzieć: istoty ich, słowo daję że sam dotychczas nie znam, ale jest obecnie u mnie ktoś, którego obecność na pewno pana zdziwi. W tym pokoju nie chcę nawet wymienić nazwiska... Musimy zachować najdalej idące ostrożności... Proszę... — i prezydent otworzył drzwi do gabinetu.

Jak poprzednio prezydent, kanclerz i rotmistrz Bergen, tak Siwiec nie umiał powstrzymać się od okrzyku zdziwienia.

— Co!!!? Panie prezydencie, czy zwycięstwo agrarjuszy podsunęło panu szaleńczy pomysł restauracji monarchji? Czy to ma być ta niespodzianka? Ta „niesłychanie ważna sprawa“ dla której przy zachowaniu całej teatralnej reżyserji sprowadził mnie pan tutaj? — to mówiąc cofnął się ku drzwiom.

— Pan wychodzi? — z tragiczną bezradnością spytał prezydent.

— Tak, ani chwili dłużej pozostać tu nie mam prawa, — odparł trybun.

Zanosilo się na generalną klapę. Do rozmowy wmieszal się jednak Mściwoj, który powstawszy z fotela zbliżył się i spokojnie, jak to leżało w jego królewskich zwyczajach i rozpoczął:

— Dobry wieczór, najzupełniej rozumiem pańskie zdziwienie wywołane moim widokiem, muszę jednak upewnić pana, że powody mego przyjazdu są poważniejsze niż chęć wywoływania efektów, jeśli więc rozpoczniemy zaraz konferencję, panie pośle, mam nadzieję, że argumenty które przytoczę uspokoją ostatecznie pańskie obawy.

— Nie mogę ich nawet słuchać, — przerwał dość niegrzecznie Siwiec, kierując się ku drzwiom.

Ex-król z niezmaconym spokojem ciągnął dalej:

— A to szkoda, gdyż po pierwsze liczyłem bardzo na pański niezależny sposób myślenia.



— Znam, komplementy... zaraz wychodzę, — to mówiąc Siwiec chwycił za klamkę.

Mściwoj, jakby nie zauważył tego, mówił:

— Po drugie, przybycie moje tutaj, a właściwie plan przywieziony przezemnie ma na celu właśnie zabezpieczenie prawidłowości, istnienia ustroju republikańskiego o którego bezpieczeństwo tak się pan niepokoi.

— Ha, wilk na straży owczarni... fantastyczny pomysł. Słuchajcie, narody, Mściwoj XI utrwała instytucje republikańskie.

— Po trzecie, — tu po raz pierwszy lekko podniósł głos, — jako mistrz „Wielkiej Łoży Szczęścia Powszechnego“ w Londynie, która jest macierzystą w stosunku do platańskiego „Doskonałego Mamuta“ — proszę panów zająć miejsca i wysłuchać tego co powiem. Panie rotmistrzu, — zwrócił się do hr. Bergena, niech pan będzie tak uprzejmy i zabezpieczy nam absolutny spokój narady...

Rotmistrz wyszedł, trzasnąwszy ostrogami... Czterej panowie zasiedli przy stole konferencyjnym.... Na drzwiach w dalszym ciągu huczała z niesłabnącem napięciem burza manifestacji, a w bramie zamkowej robotnicy fabryki „Jowisz“, którzy przywieźli tu Siwca, czekali, znudzeni, na dalsze dyrektywy, przekomarzając się dla zabicia czasu z również znudzonymi żołnierzami warty.

#### IV.

#### TROCĘ TECHNIKI.

Król Mściwoj XI rozpoczął prawie bez wstępu.

— Zastanawiałem się długo i gruntownie nad zagadnieniami techniki rządzenia, a właściwie nad zagadnieniem organizacji najwyższej władzy w państwie, pod kątem widzenia techniki i doszedłem do przekonania, że na stanowisku głowy państwa konstytucyjnego, czy to będzie król, czy też prezydent, wszelkie cechy indywidualne są raczej szkodliwe, lub przynajmniej zostały za takowe wielokrotnie uznane przez jak najszersze masy obywateli.

Weźmy choćby przykład z przewrotu, który usunął z tronu Platanji mnie i moją rodzinę. Przecież to poszło dosłownie o nic, o trzeci guzik przy mankietach paradnych mundurów kirasjerów gwardji. Panujący, bez zachceń indywidualnych nie przywiązywał by do takiego szczegółu żadnej wagi, przeszedłby nad taką drobnostką do porządku dziennego. Ja postąpiłem inaczej, sądziłem że guzik ten jest już tak małym sym-



bolem moich osobistych ambicji, że Izbie poprostu nie będzie wypadalo żądać ustępstw z mojej strony, a jednak to, a nie co innego stało się przyczyną akcji parlamentu.

— Jego wysokość zapomina, — wtrącił kanclerz, — że sprawa guzików była tylko początkiem całego szeregu zdarzeń późniejszych. Bo gdy izba w interpelacji frakcji socjalistycznej podniosła protest przeciwko wprowadzeniu zmian umundurowania bez zgody izb i przyznania odpowiednich kredytów w budżecie, Jego Wysokość napisał list do przewodniczącego komisji budżetowej z propozycją by malkontenci przybyli w najbliższy piątek po południu schludnie ubrani i z czysto umytemi zębami do ujeżdżalni kirasjerów gwardji, gdzie będą mogli prosić Go o pozwolenie pocałowania w ....

— At, — przerwał król, — nie w tem rzecz.

— Istotnie, — kontynuował kanclerz, — natychmiast wyłoniona specjalna komisja regulaminowa nie znalazła w propozycji nic takiego coby groziło bezpośrednio prawom i przywilejom narodu, ale gdy się okazało, że król Mściwoj XI, niepomny wyraźnej uchwały parlamentu, zakupił z własnych funduszy guziki dla kirasjerów, złamanie o b o w i ą z u j ą c y c h przepisów konstytucyjnych stało się jasne nawet dla najmniejszego dziecka w państwie. Ogół obywateli uczuł się zaniepo-

kojony niebezpieczeństwem tego precedensu — troska o dalszy byt Ojczyzny stała się powszechna. Zaczęto się wobec tego domagać gwarancji i... jak tu powiedzieć?...

— No i abdykowałem wtedy, powiedzmy dla spawy nie tyle ważnej ile...

— Zasadniczej, — dokończył prezydent.

— Doskonale — nie będę spierał się o szczegóły historycznej już dziś sprawy. Otóż właśnie zastanawiałem się długo nad tem, że na stanowisku głowy państwa potrzebne są, tak jak już to powiedzieliśmy, uzdolnienia i zamiłowania nietylko do spraw ważnych ile zasadniczych... Idźmy dalej... momentem zasadniczym, zrębem konstrukcji w państwach nowoczesnych jest konstytucja, straż nad konstytucją i nadzorowania zwierzchnie wykonywania jej przepisów powierzone jest królom, a w republikach — prezydentom. Teoretycy szczęśliwości doczesnej widzą w prezydentach narzędzie doskonalsze dla funkcji naczelnych, mniemając, że ludzie ci onieśmieleni, przepraszam profesora, urzędem będą trzymać się konstytucji jak deski zbawienia, ślepo praktykując jej najdrobniejsze przepisy. Bieg wypadków we wszystkich niemal republikach poucza nas, że widocznie czas kadencji prezydenta nie jest dość krótki, by ludzie piastujący ten urząd nie oswoiili się z nim i nie zaczęli okazywać w pewnych momentach własnego już sądu o rzeczach, ludziach i wypadkach.



— Więc co nam proponuje jego wysokość? — spytali wszyscy trzej dostojni słuchacze.

— Otóż proponuję ni mniej ni więcej tylko unowocześnienie aparatury zwierzchności państwa. Powiedziałem sobie przy rozważeniu tych kwestyj, że jeśli na stacjach kolejowych sprzedają bilety automaty, automaty działają z największą skrupulatnością w centralach telefonicznych wielkich miast. Automaty sprzedają nam butersznytę, piwo, nastawiają szyny kolejowe, segregują listy na pocztę, pilnują drzwi od złodziei i wewnątrz domu przed pożarem, dlaczego powiadam, jeśli wola ludu wymaga od swego reprezentanta właściwie tylko i jedynie automatycznego wykonywania ustaw, dlaczego funkcji tej nie ma spełniać automat? — Piorun z jasnego nieba nie wywołałby większego osłupienia wśród słuchaczy.

— To niesłychane! — zawołał kanclerz.

— Ciekawe, — stwierdził prezydent.

— Nie chce! — rzucił się Siwec, — a zresztą czy skonstruowanie tego rodzaju automatu wogóle jest możliwe?

— Czekajcie, panowie, czy przypuszczacie choć na chwilę, że zdecydowałbym się na podróż, konferencję i t. d. dla przyjemności pochwalenia się abstrakcyjną ideą, pomysłem, może słusznym, ale nieziszczalnym? Nie, dla takiego wątpliwego efektu nie trudziłbym na-

pewno, ani siebie, ani was, panowie. Odpowiem więc teraz przedewszystkiem na zapytanie sformułowane przez pana prezesa Siwca. Otóż, skonstruowanie tego rodzaju przyrządu jest nie tylko możliwe, ale przyrząd taki skonstruowałem, i co najważniejsze wypróbowałem w najdrobniejszych szczegółach działania.

— Fenomenalne.

— Tak, a jednak prawdziwe. Jeśli zaś chodzi o bliższe dane, to powiem, że mój automatyczny prezydent skonstruowany jest na zasadach przyjętych we wszelkiego rodzaju „Robotach“, „Elektrosach“ i t. p., automat potrafi podpisywać akty, wygłaszać przemówienia, nagadane uprzednio przez ministra spraw zagranicznych lub jakiegoś innego na odpowiedni walec i spełnia bez omyłki, zmęczenia, a co ważne bez żadnych kosztów, prócz ceny prądu i minimalnych wydatków na konserwację, wszystkie czynności przewidziane ustawami.

— Tak — hm, — półtwardząco, a z zachowaniem rezerwy powiedzieli jednogłośnie wszyscy trzej słuchacze.

— Rozumienie mnie teraz, panowie? Idźmy więc dalej — nowoczesny władca nie wykonywuje żadnej funkcji, żadnego aktu urzędowego bez kontrasygnaty premiera lub resortowego ministra, każdy krok jego, każdy ukłon i uśmiech nawet jest drobiazgowo przy-



gotowany przez rząd i jego kancelarję. Chyba nic się nie zmieniło od moich czasów pod tym względem?...

Prezydent skinął głową potakująco.

— Pamiętam przecież nieraz. Jakieś miasto prowincjonalne, ma się właśnie odbyć cercle w salonach prefektury. Ile czasu musiałem stracić na nauczenie się tego wszystkiego co mi przygotowała adjutantura, a więc: zwykle na prawo od wejścia stała administracja, wojsko i duchowieństwo, to było jeszcze najłatwiejsze. Mówiłem im kolejno, że zadowolony jestem ze stanu dróg, wyglądu oddziałów oraz śpiewu alumnów seminarjum, dalej już bywało gorzej, stawali tam ziemianie, kupcy, chłopci, żydzi i inne nieprawdopodobne delegacje, temu trzeba było powiedzieć coś o jego dziadku, który wystawił bramę trjumfalną w czasie ostatniej wizytacji w tych stronach ś. p. mojej babki, królowej Elżbiety; temu coś o fabrykacji pasty do butów; chłopom o kaszy, żydom o tolerancji, delegacjom o słusznych postulatach. Głowa pękała, by zapamiętać kolejki to wszystko.

Tymczasem w analogicznej sytuacji mój automatyczny prezydent ma zamiast pamięci, którą ja musiałem przeladowywać stekiem głupstw, szczegółów, wewnątrz swej maszynerji tekturowy planik z podziurkowanym kierunkiem marszu i wygłasza, w miejscach przewidzianych protokołem, to co należy i jest

dobrze przygotowane przez szefa kancelarji cywilnej. Czy to nie jest celowsze, łatwiejsze, ekonomiczniejsze?...

Król spojrział po słuchaczach. Widać było, że argumenty trafiają im z wolna do przekonania... Już prawie wierzyli... Wtem zabrał głos prezydent.

— Ja się zgodzę, że można skonstruować taki aparat, przepraszam, zgadzam się, że Wasza Wysokość tego rodzaju aparat skonstruował, przychodzi mi jednak do głowy taka wątpliwość... Wszelki akt państwowy podpisany, czy dokonany, musi mieć kontrasygnatę właściwego ministra... Dobrze, ale przypuśćmy, że minister przez pomyłkę lub z jakiegoś innego powodu, przynosi mi do podpisu papiery niezgodne z literą prawa. Otóż ja, jako człowiek żywy, rozumiejący poznaj pomyłkę, automat zaś, pozbawiony elementu krytyki, bez żadnego sprzeciwu podpisze i narazi na szwank nietylko powagę, ale i najistotniejsze interesy rzeczypospolitej..

— Pan podpisywał, — uszczypliwie wtrącił Siwiec.

— Pan prezydent podpisywał t y l k o akty z g o d n e z duchem konstytucji, — stwierdził dobitnie kanclerz.

— Z duchem, a nie literą, — odciął Siwiec.

— Panowie, to co słyszę jest najwymowniejszą ilustracją, że wynalazek mój trafia właśnie w najistotniejsze potrzeby chwili — zauważył Mściwoj.

— Jakto, czyż maszyna do podpisywania, że tak



określę pomysł Waszej Wysokości, będzie umiała wydać sąd o aktach podsuwanych jej do podpisu przez prezesa rady ministrów? W to już nie uwierzę — zawołał zrywając się prawie z fotela ex-kanclerz.

Ex-król spojrzał triumfalnie po zebranych, roztworzył tekę, którą trzymał na kolanach i wydobywszy z niej szereg fotografii, szkiców i wykazów, oświadczył z uśmiechem:

— A jednak, właśnie mój prezydent automatyczny potrafi wydawać sąd o przedkładanych mu aktach. Proszę bardzo, niech panowie patrzą, o tu, w miejscu, gdzie w człowieku znajdują się nerki, automat zbudowany przeze mnie posiada motorek elektryczny będący źródłem ruchu dla: fonografu, maszynerji podpisującej i innych. Motor dostaje prąd albo przez zwykły kontakt, gdy auto-prezydent siedzi przy biurku, albo z akumulatorów umieszczonych w objętości brzucha, gdy jest w ruchu, na to jednak, by prąd uruchomił odpowiednie środki akcji, musi on przejść przez najczulszą i najwspanialszą pod względem konstrukcyjnym część, to jest przez tak zwane „registry konstytucyjne“.

— Registry konstytucyjne, proszę spojrzeć na tej powiększonej fotografii, składają się z szeregu wyłączników zaopatrzonych odcinkiem taśmy fotodźwiękowej, zasadniczo biorąc każdemu artykułowi konstytucji odpowiada jeden registr, pominąłem oczywiście takie

artykuły, które w praktycznym życiu nie mają żadnego zastosowania.

— Naprzykład, — zapytał Siwiec, chciwie wietrząc zasadzkę.

— Naprzykład, — wyjaśnił ex-król, — że „Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej platańskiej należy do Narodu“, że „obywatele są obowiązani szanować władzę prawdziwą i ułatwiać spełnianie jej zadań“, dalej, że „Obywatele mają obowiązek wychowywania swoich dzieci na prawych obywateli ojczyzny“ i t. p.

— Istotnie, — przytaknęli słuchacze.

— Naturalnie, że w tekście pisanym konstytucji paragrafy te mogą pozostać po dawnemu, gdyż nic tak nie raduje społeczeństwa jak fikcje uznane za dogmaty.

— Bez wątpienia —

— Natomiast tu, — wskazał Mściwoj, — znajdują się registry wolne tymczasem do wypełnienia, ewentualnie zmianami konstytucji i innymi zasadniczymi ustawami, pozatem umieszczane tam będą rok rocznie uchwalone budżety, skład personalny rządu, izb i tych naczelných urzędów, których akty podpisuje normalnie prezydent. Działanie regestrów polega na tem, że wszelki akt, który winien otrzymać sankcję głowy państwa, będzie odczytywany przez szefa kancelarji i chwytany przez mikrofon. Impuls podchwycony przez mikrofon, przedostaje się do regestrów, które przy najmniejszej nie-



zgodności z ustawami, stwierdzonej na pasemkach fotograficznych, będą wyłączać niezwłocznie prąd i ogłoszenie lub podpisanie aktu niekonstytucyjnego będzie uniemożliwione. Naciśnięcie dźwigni „P“ powraca rejestry do położenia wyjściowego i umożliwia dalsze funkcjonowanie maszyny państwowej.

— Więc nie może być pomyłki ani na jotę? — spytał ex-kanclerz.

— Najmniejszej.

— Bardzo to cenne, — dorzucił Siwiec, koso spoglądając na prezydenta, który studjując drobiazgowo fotografie i wykresy zdawał się porównywać ich zasadę z własną niedoskonałością psychiczną.

— Jeszcze jedno, po stronie przeciwnej rejestrów znajduje się kalendarz zegarowy sprawdzający ścisłość terminów przewidzianych, jest on połączony z rejestrami przewodem, który wyłącza odpowiednią komórkę rejestru w razie niedotrzymania terminu. Naprzykład budżet państwa obowiązuje na rok; przypuśćmy, że zaszłaby potrzeba poczynienia jakich wydatków po tym terminie... jest to niemożliwe gdyż ściśle z datą 1 kwietnia rejestr budżetu został wyłączony. Dla informacji dodam, że rejestry konstytucyjne zamknięte są specjalnym zamkiem, którego klucz może być przechowywany czy to u kardynała-prymasa, czy to marszałka izby, u prezesa sądu najwyższego, jednym słowem

u kogoś absolutnie pewnego. Ja osobiście doradzałbym jakiś solidny bank.

— Słusznie, potwierdzili panowie.

— Choć mnie się wydaje, że klucz powinien znajdować się właśnie w parlamencie, w gablotce pod szkłem, w miejscu najbardziej uczęszczanym. Zgodneby to było z duchem prawdziwej demokracji — dorzucił Siwiec.

— W takim razie trzeba by gablotkę umieścić w bufecie, — wtrącił król, — ale to głupstwa, te szczegóły obmyślicie panowie sami. Tak, jak sami lub jakaś specjalna komisja zastanowi się nad wyrazem twarzy waszego władcy, której naumyślnie nie projektowałem chcąc tym sposobem dać pole do popisu rodzimej inwencji.

— Widzę z tego, że wasza wysokość uważa sprawę przyjęcia jego projektu za przesądzoną, — spytał Siwiec.

— A dlaczego by nie, — zdziwił się król. — Rzecz jest prosta, tania, praktyczna i absolutnie pewna.

— Tak, ale projekt jest tak fantastyczny, że wątpię, czyby stronnictwo agrarjuszy i sprzymierzone grupy uznały go za właściwe wyjście z sytuacji, — oświadczył Siwiec.

— Ja wiem — zerwał się ex-kanclerz, — ja wiem, — powtórzył — właściwym wyjściem według pana jest



podział stanowisk przewidziany układem z mniejszościami i nacjonalistami.

— Nie.

— Nie, a dlaczego w tym papierku, którego istnienia nie będzie pan mógł negować, gdyż posiadam jego fotograficzną odbitkę, znajduje się pańskie nazwisko wymienione jako kandydata na stanowisko prezydenta?

— To jest kłamstwo, — krzyknął Siwiec.

Kanclerz aż się zatoczył z pasji.

— Ja sobie wypraszam tego rodzaju zarzuty.

— Ja sobie wypraszam tego rodzaju policyjne metody, — rąbał słowo po słowie Siwiec.

— Proszę ognia, — powiedział ex-król odkładając palącego się, a biorąc świeżego papierosa.

Przeciwnicy ucichli.

## V.

### DONIOSŁY MOMENT.

Niewiadomo w jaki sposób udało się ostatecznie przekonać Siwca. Niewiadomo czy uległ on perswazji czy groźbie. Niewiadomo czy zdecydował się on odrazu czy też dopiero po całonocnej naradzie z adwokatem Zylbermanem. Niewiadomo...

Tok myśli, zmaganie się geniusza nowej formy ze starymi nawykowymi formami myślenia, wszystko to pozostanie tajemnicą dla nas, szarych obywateli, dowiadujących się o wielkich decyzjach z depesz i notatek dziennikarskich.

Opowiadano wiele w kawiarniach, klubach i domach prywatnych... przytaczano autentyczne wersje o treści wprost przeciwnej. Jedni twierdzili, że prezydent profesor Tangens oświadczył, że nie ustąpi z zajmowanego stanowiska na rzecz Siwca, a jedynie dla maszyny gotów jest opróżnić swe miejsce za biurkiem. Drudzy dawali głowę, że kanclerz Machay zagroził poprostu Siw-



cowi opublikowaniem skandalicznych dokumentów z zakresu jego młodzieńczych porywów w stosunku do pewnej arystokratki, co musiałyby go położyć definitywnie w oczach ludowych wyborców.

Ile w tem prawdy?

Trudno wiedzieć.

Bo były znowu głosy, że to król Mściwoj postawił zebranych wobec możliwości akcji monarchistycznej pod wodzą swego syna, dość popularnego w kraju...

...Może też prawda?

Były prezydent, profesor Tangens, pisze podobno pamiętniki. Wyszły już tomy: „Moje dzieciństwo“. „Studja“, „Podróże“ i „Wykłady“, w druku znajdują się „Życie polityczne“, a w przygotowaniu „Prezydentura“. Poczekajmy trochę, jak tylko dwa ostatnie tomy ukażą się na rynku, wiele ciemnych sytuacji z tego okresu zostanie wyjaśnionych.

Narazie nie możemy podać jak to tam było naprawdę, tembardziej że, jak twierdzą historycy, dopiero po stu latach, gdy wszyscy już zapomną, dzieje nabierają właściwej wyrazistości. Nie wiemy. Wiadomo nam tylko jedno, że gdy po czterech godzinach Siwiec opuścił zamek i prowadzony przez robotników fabryki „Jowisz“ znalazł się znów pośród mocno przerzedzonej, ale w dalszym ciągu silnej jeszcze manifestacji, oblicze jego zdradzało silne wzburzenie, a głos zapowiedział:

— Zwycięstwo konstytucyjno - demokratycznych ideałów w najczystszej formie.

Dnia następnego od wczesnego już ranka (jakie tłumy?) nieprzebrane tłumy (mimo czego dokuczliwego) mimo dokuczliwego deszczu oczekiwały na ulicach i placach przyległych do parlamentu na posłów i senatorów spieszących na posiedzenie. (Z czem nieklamnym witano?) z nieklamnym entuzjazmem witano przedstawicieli zwycięskich stronnictw. (A zwłaszcza na widok kogo?) a zwłaszcza na widok prezesa, posła Siwca entuzjazm doszedł do tego, że grupa robotników fabryki „Jowisz“ „spontanicznie“ chwyciła swego przewodcę na ramiona i (wśród jakich okrzyków) wśród niemilkających okrzyków zaniósła go (aż do którego wejścia?) aż do samego wejścia parlamentu.

Posiedzenie rozpoczęło się punktualnie o godzinie 11 m. 15; po zagajeniu przewodniczący izby udzielił głosu posłowi Zylbermanowi, który imieniem sfederowanych stronnictw wniósł projekt zmian odpowiednich paragrafów ustawy konstytucyjnej, któreby pozwoliły, wobec spodziewanej rezygnacji prezydenta prof. Tangensa, wprowadzić na to stanowisko, maszynę, automat, gwarantujący jak najdoskonalej zachowanie wszelkich praw i prerogatyw republikańskich.

W czasie i po przemówieniu pos. Zylbermana na ławach poselskich i galerji powstawały kilkakrotnie tu-



multy, gdyż posłowie i publiczność, nie rozumiejąc istoty zagadnienia, domagała się głośno wyjaśnień, lub żądała by z nich nie kpiono, na trzeźwo, przed południem.

Gwar ucichł dopiero, gdy przewodniczący udzielił głosu profesorowi politechniki Butrymowi, który z właściwą sobie pedanterją wyjaśnił szczegóły konstrukcji przyrządu.

Po referacie nastąpiła przerwa dla dania czasu klubom naradzenia się nad stosunkiem do projektu, gdyż stosownie do zapowiedzi wnioskodawcy głosowanie miało się odbyć zaraz po dyskusji i w razie przyjęcia wniosku, kwalifikowaną większością, projekt wszedłby w życie w czasie najbliższym.

Tego rodzaju postawienie sprawy umotywował przewodniczący „powszechnie znanymi okolicznościami, których omawiać tu nie trzeba“.

Gmach parlamentu drżał w posadach. Wobec świeżo ukończonych wyborów przybyła większa ilość posłów pierwszy raz piastujących mandaty. Ludzie ci, nie w tajemniczeni jeszcze w arkana parlamentaryzmu, pętali się z kąta w kąt, szukając beznadziejnie swoich lokali klubowych, kłaniali się ni przypiął ni przyłatał majestatycznej straży prezydjalnej, a co gorsza, spotykając znajomych, piastujących mandaty z innych list, rozmawiali z niemi bez zachowania dostatecznej ostrożno-

ści. Dzięki powstałym w ten sposób niedyskrecjom dziennikarze, myszkujący po kuluarach, dowiedzieli się niezwłocznie, że chrześcijańsko-ugodowi pod wodzą ks. Tucza głosować będą przeciw projektowi. Chrześcijańsko-ugodowi nie mieli zaufania do maszyn, ksiądz Tuczek wyjaśnił im to przejrzyście.

— A gdyby ci jakiś żyd twoją rodzoną babę chciał zamienić na maszynę, coby się i śmiała i gadała i gotowała i wszystko — zgodziłbyś się?

— Nie! — odpowiedzieli chórem chłopci, — zła jest, ale niechta już zostanie po dawnemu.

Nie mieli zaufania do maszyn.

Co tu robić, do głosowania potrzebna była kwalifikowana większość trzydziestu siedmiu pięćdziesiątych czwartych ustawowej liczby posłów. Stanowisko chrześcijańsko-ugodowych rozbijało większość, gdyż liberali ze względów zasadniczych musieli głosować przeciw zmianom.

Dyrektor biura kanclerza usiłował porozumieć się z prezesem Związku towarzystw jajczarsko-mleczarskich — gdzie chrześcijańsko-ugodowi dostawali kredyty, ale prezes płókał właśnie wątrobę w Vichy, a jego zastępca był niekompetentny.

Było źle. Tych siedmiu podgórskich chłopów pod wodzą księdza Tucza, stojąc niewzruszenie na swych



stanowiskach, rozbijało cały projekt. Żadne pośrednictwa i dyplomatyczne zabiegi nie pomagały.

Wobec tego przewodniczący izby odroczył posiedzenie jeszcze na pół godziny. Kuluary zaroily się podnieconymi posłami, którzy ukończywszy obrady w klubach usiłowali dowiedzieć się czegoś. W bufecie panował ścisk i tumult, przyczem pewien nacjonalista spoliczkował ortodoksa Lubkinda, biorąc go za komunistę Frumkinda.

Nagle wśród dziennikarzy obserwujących przebieg wypadków z galeryjki otaczającej hall za podjum prezydjalnem przeszedł szmer.

— Zaraz będzie.

A powiedział to pierwszy, jak twierdził, Ignacy Wientraub („Grom“) do Seweryna Sterna („Przegląd“), z tem, że Stern utrzymuje, że to właśnie on, a nie tamten. W każdym razie, bo któż dojdzie do ładu, powiedziane to zostało w chwili, gdy szef archiwum parlamentarnego przeszedłszy przez hall skierował się ku lokalowi klubowemu liberałów.

Znikł za drzwiami...

...przebył tam trzy minuty...

...wyszedł...

i w tejże chwili niemal odezwał się dzwonek wzywający posłów do sali obrad.

Odrazu stało się wyraźnem co wypertraktował szef

archiwum; wśród miejsc zajętych przez liberałów widniała łysina, równo osiem foteli pozostało pustych. Przejście projektu było w ten sposób zapewnione...

Stronnictwa rozpoczęły teraz kolejno wygłaszać swe deklaracje odnośnie do wniosku. Za — wypowiedzieli się wszyscy, z wyjątkiem zdekompletowanych liberałów i niewzruszonych chrześcijańsko-ugodowych. Zasadniczo biorąc projekt został przyjęty. Pewna różnica zdań wyłoniła się jedynie przy dyskusji szczegółowej, której poddano zagadnienie jaką twarz ukształtować należy przyszłej głowie państwa.

Nacjonałiści żądali kategorycznie, by była ona wy-modelowana na blondyna z niebieskimi oczami, gdyż takimi według tradycji byli dawni mieszkańcy niziny platańskiej przed wpływami etnicznymi przyniesionemi zwłaszcza w czasie wojen dawnych i nowożytnych.

Agrarjusze wprowadzili do powyższego poprawkę, by typ platański uzupełniony był cechami charakterystycznymi dla mieszkańców wsi, opalenizną i żywemi rumieńcami.

Socjaliści żądali, miast twarzy, tarczy z symbolem młota i kowadła.

Żydzi wnieśli protest kategoryczny przeciw nadawaniu głowie państwa jakichkolwiek cech zbyt charakterystycznie rasowych i radzili rozpisac konkurs wśród



artystów z zagwarantowaniem równouprawnieniem artystów mniejszościowych.

Zanosilo się nawet wobec pozostałej różnicy zdań przez chwilę na burzę, gdy pewien poseł z nielicznej frakcji legitymistycznej dał projekt, przyjęty jednogłośnie, by w okresach przewidzianych dotychczas dla obioru prezydenta, odbywało się głosowanie dające stronnictwu lub też kartelowi większości prawo kształtowania oblicza władcy według własnych pojęć polityczno-społecznych.

Bez większych sprzeciwów zgodzono się też z wnioskiem następującym: by automatyczny prezydent Platanji używał w aktach i podpisach imienia PLATANUS.

Obrano też komisję, która miała niezwłocznie wyjechać do Anglii po odbiór nowoobranego władcy, oraz drugą, której powierzone zostało przygotowanie na miejscu przez specjalistów i z materiałów krajowych oblicza, według typu podanego przez zwycięskie stronnictwo agrarjuszy.

Taż sama komisja przygotować miała odpowiedni komplet ubrań strojów i kapeluszy.

Nie potrzebuję dodawać, że nazwisko wynalazcy nie zostało ani razu przez cały czas obrad i dyskusji wymienione.

## VI.

### UROCZYSTOŚCI.

Data święta narodowego w dniu dwudziestego czerwca, upamiętniająca chwilę zburzenia ujeżdżalni kirasjerów gwardji, została postanowiona jako termin przyjazdu i objęcia funkcji przez Platanusa, który gotów i sprawdzony oczekiwał w Londynie.

Mieszkańcy oczekiwali z rosnącą niecierpliwością przyjazdu. Oczekiwali z powagą, gdyż odpowiednie wykłady przez radjo pouczyły wszystkich o powszechnych korzyściach, wynikających ze zmechanizowania najwyższych funkcji państwowych.

Wyjaśniono więc i wyjaśnienie to zostało przyjęte za dogmat, „że jakkolwiek auto-prezydent Platanus, będzie bezwątpienia pozbawiony pewnych miłych cech człowieka żywego, z drugiej jednak strony wykluczone zostały w jego konstrukcji wszelkie cechy negatywne. Jest on pozbawiony wszelkich ułomności ludzkich, dosłownie „głuchy na wszystko, co nie jest prawem“, lub



„ustawowo przewidzianym pożytkiem lub koniecznością państwową“.

W dzień przyjazdu, kanclerz Siwiec na czele nowo utworzonego rządu udał się na granicę państwa. Uroczystości powitalne rozpoczęto na stacji Chrząszczyn przybranej w zieleń i flagi państwowe.

W chwili gdy pociąg, również przybrany zielenią, zatrzymał się przed peronem, kanclerz Siwiec wygłosił przemówienie, które podaje w skróceniu:

— Dostojny Przybyszu! W chwili gdy koła wagonu wiozącego Twoją osobę minęły kamienie graniczne, wydało się nam wszystkim, że przez kraj nasz przeszedł powiew ożywczego powietrza.

Niepewność, troski, wszystko to co wisiało dotychczas złowieszczo nad horyzontem naszego życia zbiorowego odeszło pod tym powiewem jak zły sen.

Dzień dzisiejszy będący wielką rocznicą rozwalenia w gruzy starych form ustrojowych, zniszczenia monarchji, której rządy despotyczne tak się nam wszystkim dały we znaki, staje się od dziś nową wielką rocznicą, rocznicą unowocześnienia naszego bytu państwowego, według najświetniejszych praw postępu.

Witamy Cię jako symbol naszych praw, naszych ustaw, naszych tradycji, naszych pojęć, naszych najwspanialszych marzeń o równości, wolności i braterstwie.

Witamy Cię, jako gwarancję swobód i rękojmię obowiązków.

Witamy Cię nie tylko jako urzeczywistnienie najwspanialszych postulatów republikańsko-demokratycznych u nas, ale jednocześnie jako jutrzenkę nowych form rządzenia u innych narodów, jutrzenkę zwiastującą przez wzmożenie wiary w powszechną legalność nowy okres życia wielkiej rodziny państw i narodów.

Auto-prezydent Platanus wysłuchał tego przemówienia ustawiony w oknie wagonu salonowego, poczem ukłoniwszy się lekko wypowiedział:

— Szczęśliwy jestem, że stając pierwszy raz na tej ziemi, widzę życzliwość, skierowaną do mojej osoby. Przedstawiciele rządu, administracja, wojsko i delegacje zebrane na moje przyjęcie są wymownym dowodem wagi, jaką całe społeczeństwo przywiązuje do zachowania w najwyższej skrupulatności przepisów konstytucji.

Słusznie pan kanclerz Siwiec w swem pięknym przemówieniu podkreślił znaczenie mojego przyjazdu dla współpracy narodów. Dodam, że jak dotychczas polityka państwa będzie nacechowana duchem pokoju.

Niech mi wolno będzie powitać tę ziemię, do której przybywam, okrzykiem:

Niech żyje republika!

— Niech żyje! — podchwyciła zgromadzona na pe-



ronie publiczność i delegacje. — Niech żyje! Żyje! Niech żyje prezydent Platanus! — wyrwał się dyrektor gimnazjum.

— Niech żyje! — zagrzmiało na peronie.

Orkiestra 94 pułku, straży ogniowej oraz chóry „Harfa“ i „Lutnia“ zaintonowały hymn. Kompanja honorowa sprezentowała broń. Sztandary pochylały się ku ziemi, a prezydent Platanus ukloniwszy się nawprost, prawo i lewo usunął się z okna.

Delegacja rządu z premierem Siwcem na czele zajęła śpiesznie miejsca w przeznaczonym dla siebie wagonie i pociąg ruszył wśród bezustannego brzmienia „hymnu“.

Dopiero gdy wagon bagażowy minął semafor, orkiestry przerwawszy melodię pomiędzy sylabami „zacho (—i—) waj“ odmaszerowały w kierunku rynku, gdzie miały się odbyć dalsze uroczystości związane z dniem święta narodowego.

Pociąg tymczasem pędził w kierunku stolicy, mijając okwiecone dworce, bramy tryumfalne, przejazdy pełne delegacji szkół i ochronek powiewających radośnie chorągwiemi.

W czasie postoju w Palkach delegacje doręczyły Platanusowi tradycyjną tacę z chlebem i solą, natomiast w Zgorzelicach uczniowie miejscowej szkoły technicznej ofiarowali piękny akumulator, wykonany własno-

ręcznie w zakładzie wraz z odpowiednim adresem. Wszystkie te dary przyjmował rotmistrz Bergen, pełniący po dawnemu funkcje adjutanta.

Do przedmieść stolicy zbliżył się pociąg specjalny koło godziny czwartej po południu. Pojawienie się jego zapowiedziały gwizdki wszystkich parowozów i syreny fabryk.

Po chwili do ryku syren przyłączyło się bicie w dzwony na wieżach świątyn wszystkich obrządków. Eskadra samolotów, eskortująca pociąg od granicy, połączyła się z eskadrami, które wyleciały ze stolicy i uformowawszy klucz, o cięciwie około piętnastu kilometrów, wykonały szereg ewolucyj, z których najciekawszą był monogram Platanusa w aureoli liści dębowych wypisany dymem na tle szafirowego nieba.

Nieprzebrane rzesze publiczności obserwowały ten niebywały „majstersztyk“ kunsztu lotniczego, mimo to, że „P“ czytane od strony przedmieścia Arga wzięto za „d“, co dało pretekst do niesmacznych komentarzy i porównań w dziedzinie dzisiejszej rocznicy zburzenia ujeżdźalni.

Pociąg zatrzymał się przed dworcem reprezentacyjnym przybrany jak wyżej... Orkiestra... sztandary... rząd... delegacje... chleb i sól... prasa i zaproszeni goście... wszystko jak wyżej tylko w rozmiarach bez porównania wspanialszych.



Prezydent Platanus odebrał raport od dowódcy garnizonu, przeszedł sztywnym krokiem przed frontem kompanji honorowej, poczem wysłuchawszy przemówienia powitalnego prezydenta miasta wygłosił orędzie, w którym dał wyraz swemu zadowoleniu z wyglądu oddziałów, radosnej chwili święta narodowego i miłości Ojczyzny, którą on, Platanus, reprezentuje z woli narodu.

Postawa i ruchy, a zwłaszcza przemowa auto-prezydenta były tak swobodne, tak ludzako naśladujące żywego człowieka, że gdyby nie cieniutka nitka przewodnika elektrycznego przy pomocy której dyrektor kancelarji cywilnej kierował marszem i ruchami powitalnymi ręką niktby się nie domyślił, że wewnątrz kamizelki władcy działa motorek o sile  $1\frac{1}{4}$  HP. Chwila, gdy dziewiętnastoletnia córka premjera Siwca, złotowłosa Mary, podała Platanusowi bukiet polnego kwiecia, a on, objąwszy ją ramieniem, delikatnie musnął ustami nadstawiony policzek, była tak naturalnie przedstawiona, że siwowłosi senatorowie przed frontem których miało to miejsce, zaczęli podkręcać wąsy i poprawiać pince-nez.

Powitanie na dworcu zamącił jeden jedyny niemiły incydent.

Już na samym początku przemówienia zauważono, że Platanus przemawia głosem ludzako podobnym do głosu byłego króla Mściwoja XI. Było to najzupełniej

naturalne, gdyż przemówienia objęte programem podróży mimo, że zostały ułożone przez rząd, nagadanie ich na wałek fonograficzny skuteczniał własnoustnie konstruktor. Miało to ten skutek, że gdy po skończonem przemówieniu zaczęto przedstawiać Platanusowi ważniejsze osoby delegacji, którym auto-prezydent podawał kolejno rękę, wygłaszając odpowiedni zwrot okolicznościowy, pewien poseł, uwiedziony brzmieniem głosu i uroczystym nastrojem, pocałował wyciągniętą rękę, złożywszy przy tem wyszukany dworski ukłon.

Komunikat oficjalny wyjaśnił, że poseł doznał chwilowego zamroczenia umysłu, spowodowanego przepaleniem zbyt długo odkrytej głowy przez słońce.

Po powitaniu na dworcu prezydent udał się na zamek, gdzie rozpoczął od tej chwili sprawowanie przepisanych mu przez ustawy republiki funkcij zwierzchnich i reprezentacyjnych.

Funkcjonowanie aparatury, jak okazała praktyka, było tak precyzyjne, tak sprawne i dokładne, że liczni sceptycy, którzy na początku głosili głupotę i śmieszność tego rodzaju pomysłu, przekonawszy się rychło, stawali się gorliwymi rzecznikami systemu automatycznego, uznali jego doskonałość i spoglądali zgóry na obywateli innej narodowości, posiadających w swych państwach przedhistoryczną instytucję królów lub niemniej nieaktualną... żywych reprezentantów woli ludu.



I tak przeszedł rok.

Drugi rok.

Platanus podpisał kolejno nominacje i dymisje Siwca w trzech kolejnych gabinetach.

Potem trzeci rok, — znów Siwiec znalazł się przy władzy.

Sprawy w państwie układały się coraz pomyślniej i pomyślniej, zwłaszcza, że w drugim roku wprowadzenia auto-prezydenta zmarł na wygnaniu jego konstruktor, król Mściwoj XI, co odbiło się wyraźnie na akcji obozu legitymistycznego i podniosło autorytet republikańskich instytucyj.

I byłoby już tak dalej dobrze i spokojnie, gdyby nie pewne zdarzenia, spowodowane temi właściwościami duszy ludzkiej, na skutek których, znany filozof grecki Łypek powiedział, że życie jest marne i postawił sobie kamienicę w Będzinie.

## VII.

### KLUB „EX“.

W mglistem mieście Londynie, przy Trafalgar Square, mieści się jeden z najekskluzywniejszych klubów świata... klub „EX“.

By być tam przyjętym nie wystarczy mieć nazwisko, sławę, pieniądze, nie wystarczy mieć ochotę, a nawet poparcie członków klubu, nie...

Sam książę Walji, który jest, jak wiadomo, pierwszym gentlemanem świata klubowego, ma wstęp zamknięty do tej instytucji.

Na to by wstąpić do klubu „EX“ trzeba być ex, trzeba stać się lub urodzić byłym cesarzem, królem lub księciem udzielnym. Ex-panujący i pretendenci oraz ich synowie, następcy nieistniejących tronów, a więc: hrabia Paryża, Braganza meksykański, Habsburg, Romanow, następcy tronów Grecji, Niemiec, Bawarii, Saksonji, były szach perski zdetronizowanej linii, sułtan turecki, maharadża Joomper — mogą być gdy chcą członkami klubu. Inni śmiertelnicy, choćby na głowie stawali,



dopóki korona spoczywa na ich skroniach, nie mogą nawet marzyć o wejściu do klubu „EX“.

Jedynie raz do roku, w dzień czternastego lipca, jako datę wykwitowania Burbonów z dziedzictwa przodków, otwierane są podwoje klubu dla gości, członków rodzin dotychczas panujących, przyczem specjalnie dobrze widziani są młodzi następcy tronów, których ojczulkowo umiejętnie zbliżają się do szczęśliwej, to jest z głową na karku, abdykacji.

Lokal klubowy jest tak wspaniały, kuchnie i piwnica tak doskonała a zwyczaję tak miłe i swobodne, że następcę tronu Sławonji, będąc raz zaproszony na uroczystość klubową, nazajutrz zaraz wstąpił do partji rewolucyjnej, która, zlikwidowawszy papę, stworzyła mu warunki przewidziane paragrafem drugim statutu.

Nie potrzebuję dodawać, że Mściwoj XII, syn wynalazcy automatycznego władcy Platanji, używający dla wygody nazwiska Pawła hr. Mestwin, należał do klubu „EX“. Hrabia Paweł był młodzieńcem powszechnie lubianym i wiele stracili ci, którzy pozbawieni prawa należenia do klubu „EX“ nie widywali go w najlepszych chwilach jego życia. Bo hr. Paweł był duszą klubu.

Jemu to zawdzięczał klub „EX“ wprowadzenie jednego, jedyne go członka, który nie był zawodowym expanującym, a mianowicie Amadeusza Mugué, feljetonistę z „Petit-Parisien“.

A była to historia doskonała, szkoda wielka, że z braku miejsca, opowiedzieć ją mogę w wielkim skrócie. Spróbuję jednak...

Zaczął się od tego, że Amadeusz, w związku z jeszcze jednym przewrotem w Albanji, napisał feljeton, w którym dał projekt, by na posadę panującego w tym kraju rozpisac konkurs pomiędzy członkami klubu „EX“, przyczem skreślił w paru słowach zarys tej instytucji.

Wydawcy podobał się niezmiernie pomysł Amadeusza, pragnąc temat rozprowadzić jeszcze na parę numerów, zaproponował feljetoniście, by pojechał niezwłocznie do Londynu i uzyskał wywiad z prezesem klubu, ks. Lotharem, na temat możliwości podanego przez feljeton konkursu. Wywiad miał być pół-poważny, pół-wesoły, rodzaj w którym Amadeusz panował niepodzielnie.

Amadeusz, nie namyślając się wiele, siadł w najbliższy aerobus i pojechał do Londynu. Przedostanie się do klubu wydawało mu się naturalnie tak proste, jak połknięcie tuzina ostryg w winiarni „Bambus“ przy placu Pigalle.

Przyjechawszy jednak na miejsce, zawiódł się srodze. Maharadża Joomper, z którym spędził poprzedniej jesieni szereg zachwycających, (maharadzę, a nie Amadeusza) wieczorów, stropił się niezmiernie.



— Mój kochany, — powiedział maharadża, — muszę ci się przyznać, że byłem niewymownie zdziwiony, gdy pewne szczegóły o organizacji klubu „EX“, które ci opowiadałem, ukazały się na łamach prasy.

— Och, Wasza Wysokość chyba zrozumie, że szerokie sfery naszych czytelników były zachwycone wiadomościami o klubie. Wiadomość podana była doskonała i przypuszczam, że nikt w dwudziestym wieku nie pogardza temi wszystkimi dogodnościami, jakie daje popularność, — próbował tłumaczyć się Amadeusz.

— Mój drogi, — przerwał mu jednak Babu Joomper, — wybacz, ale to ci się tak tylko wydaje. My, ludzie klubu „EX“, wiemy znacznie lepiej od wszystkich dziennikarzy obu półkuli jaką jest prawdziwa wartość popularności wśród najszerszych rzesz.

— Ależ — próbował zaprotestować Amadeusz.

— Mój świętej pamięci dziadzio Radawanach Babu Joomper był tak popularny, że nie było w naszym kraju miasteczka, ani wioski, by nie stały w niej piękne posągi z marmuru, albo bronzu, wyobrażające dziadzię: konno, pieszo, siedzącego i we wszystkich innych pozycjach. Pojedź, jeśli cię to bawi, dzisiaj i zobacz co się z tego zostało: tablice potłuczone, posągom dziadzi porurywali głowy, a na placu zamkowym w Joomper do wozu tryumfalnego, gdzie siedział dziadzio (zrobiony ze szczerego złota) wsadzili jakąś wredną babę, którą

nazywają „Wolnością“, mimo, że Anglicy właśnie pod tą figurą walą obywateli w skórę bambusowymi prętami, przy lada dogodnej sposobności.

— Więc, Wasza Wysokość jest niezadowolony z mojego feljetonu?

— A coś ty myślał! — zdziwił się Babu Joomper, — w statucie „EX“ powiedziane jest wyraźnie, że „dyskrecja co do wszystkiego, co dotyczy naszych zebrań i istnienia, jest pierwszym i zasadniczym obowiązkiem członków“.

Prawda, że nie jesteś członkiem, więc cię to nie obowiązuje, ale ja ponoszę bez wątpienia część odpowiedzialności za to co się stało. Bardzo nieprzyjemna sprawa... A co do wprowadzenia kogoś obcego do lokalu klubowego, to wybij to sobie z głowy raz na zawsze.

Amadeusz stropił się i pożegnawszy maharadżę wrócił do hotelu, by zastanowić się nad metodami dalszego działania. Najważniejszym było to, że zaawansował się w stosunku do wydawcy i głupio mu było teraz wracać z pustymi rękami. Z drugiej zaś strony, jak to już widział w zarysowującej się perspektywie, uzyskanie wywiadu musiało pociągnąć za sobą stratę paru dni czasu, co wobec spodziewanego przyjazdu do Paryża, pewnej milej, a posiadającej zazdrosnego męża, pani z prowincji, było mu nad wyraz niedogodne.

Spróbował jeszcze, jak to mówią „na warjata“ tele-



fonować się z prezesem klubu, księciem Lotharem, ale książę, usłyszawszy tylko nazwisko Amadeusza, powiedział:

— Ach! to pan ma taki talent, — i powiesił słuchawkę.

Wobec takiego obrotu sprawy, Amadeusz zamówił połączenie z Paryżem i dostawszy na drut wydawcę, przedstawił do jego decyzji, czy przy napotkanych trudnościach ma powracać, czy też pozostać parę dni, do tygodnia. Gdyż tyle czasu zajmie przypuszczalnie przedostanie się za podwoje klubu.

Wydawcę zdziwił zwrot Amadeusza, czytelnicy byli do tego stopnia zaciekawieni zapowiedzią sensacyjnych obrazów, że telefon nie przestawał poprostu dzwonić w sekretarjacie redakcji. Wydawca przypuszczał, że trzy, najwyżej do czterech dni, powinny być wystarczyc. A gdy wkońcu Amadeusz zaznaczył, że to wszystko spowoduje przypuszczalnie dość wysokie koszta w słuchawce rozległ się niepohamowany śmiech.

— A to gadaj pan tak odrazu... Ile ci potrzeba? Tysiąc... dwa... trzy tysiące franków? — ryczał wydawca.

— Koło siedmiu, — powiedział Amadeusz, chcąc oszczędnego wydawcę przestraszyć wysokością cyfry.

— Posyłam panu dziesięć, z tem, że w dzisiejszym wydaniu popołudniowem dajemy zapowiedź artykułów w przyszły wtorek... dowidzenia, — i ten gruby wieprz

powiesił słuchawkę, tak jak uprzednio powiesił ją książę Lothar.

Amadeusz znalazł się w sytuacji bez wyjścia: z jednej strony piękna pani, z którą spotkanie przypadło w razie pozostania w Londynie, z drugiej strony wydawca, który djabli wiedzą dlaczego uparł się przy feljetonach z zakresu życia klubu „EX“. Nieszczęsny pisarz próbował pocieszać się filozoficznym aforyzmem, że spotkała go, jako zwykłego śmiertelnika, słuszna kara za bluźnierczą chęć zgłębienia tajemnic panujących. Niewiele go to jednak uspokoiło. Naszpirowawszy się więc pasją, jak comber zajęczy słoninką, włożył kapelusz i wyszedł poszukiwać dróg do zrealizowania swych celów.

Całe popołudnie zeszło mu na gromadzeniu materiału teoretycznego, odnalazł więc paru dawnych znajomych ze służby bezpieczeństwa, z którymi współpracował już wielokrotnie przy większych katastrofach, skandalach i awanturach.

Za pośrednictwem tych miłych panów uzyskał dokładne spisy członków klubu, ich adresy, telefony i charakterystyki sposobu życia. Informacje o służbie osobistej ex'ów, jej ilości i personaljach.

Następnie, poprosiwszy znajomego inspektora policji, by w razie jakichś niejasnych sytuacji komisaryjaty wiedziały, że jest dziennikarzem, a nie anarchista,



udał się na miasto poszperać pod wybranymi adresami.

Na pierwszy ogień Mugué wybrał rezydencję ks. Borysa Romanowa, mieszczącą się w odosobnionej i wiecznie zamkniętej willi.

Po długim dzwonieniu, do furtki zbliżył się jakiś drab w liberji, pokrytej medalami i twarzą pooraną szeregiem głębokich blizn.

Na zapytanie czy książę Borys jest w domu, drab w liberji kiwnął przecząco głową i wymamrotał coś, co miało znaczyć — nie. Ale skoro Amadeusz, pragnąc wejść w konwersację, powiedział, że to właśnie doskonale się składa, bo chciałby tylko złożyć bilet i zapytać się, jako dziennikarz, czy książę dobrze spał tej nocy, drab gwizdnął... Na to przybiegły dwa wcale duże brytany i Amadeusz, opędzając się, jak umiał, znalazł się za drzwiami, żegnany mało zachęcającem:

— *A prijdi jeszcze raz, tak ja tiebia uże proklataja lieninskaja morda...*

Amadeusz śpiesznie zastrzasnął furtkę i snując smutne refleksje na temat, że dusze wschodu trudno aklimatyzują się w Europie, udał się dalej.

...Nie lepiej powiodło mu się w hotelu, gdzie rezydował książę de Guise. Zmuszono go tam do podpisania pamiątkowego albumu i opłaty składki na legitymacyjne wydawnictwo, poczem uprzejmie podano kapelusz.

...W przedpokoju księcia Achillesa Greckiego oświadczono mu, po wysłuchaniu wstępnej przemowy, że zapomóg pod żadnym pozorem się nie udziela i zagrożono policją w razie, gdyby nie wyniósł się niezwłocznie.

...U Achmeda Ali, kalifa Bagdadu, spotkała go jakaś straszna jędza, która, nie dawszy mu nawet dojść do słowa, wtajemniczyła przybysza w dokuczliwy ból zębów, który ją trapi od lat pięciu i że wogóle nie rozumie, jak jej siostrzeniec mógł wybrać rezydencję w takim klimacie. Jedyne chwile, w których starsza pani odyskiwała równowagę fizyczną i duchową, bywały w czasie wycieczek w okolice Adrjanopola, gdzie pewna znajoma zapraszała ją rok rocznie do swej wiejskiej rezydencji. Starsza dama oświadczyła Amadeuszowi, że uważa go za bardzo miłego causeur'a i wyraziła nadzieję, że znajdzie czas, by ją odwiedzić jeszcze kilkakrotnie w jej osamotnieniu.

Po wysłuchaniu tego Amadeusz wyszedł sam, wymówiwszy się pilnym interesem i, przeżegnawszy się trzykrotnie, przysiągł zaraz na progu mieszkania, że nie powróci tu nigdy.

...Wizyta u don Miguela portugalskiego omal nie skończyła się tragicznie. Był na tyle nieostrożny, że chcąc zorientować się w topografji domu, okrążył go dwukrotnie, gdy następnie wszedł do przedsionka i zadzwoniwszy spytał portjera o księcia, portjer wskazał



mu zasłone, przy mijaniu której został pochwycony przez dwóch mężczyzn, skrępowany, zakneblowany i przeniesiony do pokoju obitego grubemi dywanami, aż po sufit włącznie. Tam podano go szczegółowej rewizji, zagładając nawet do gardła, czy nie posiada jakiejś broni, poczem jeden z mężczyzn przyłożył mu do karku zupełnie wystarczający nóż i zapytał:

— A teraz gadaj, psie, kto cię tu posłał?

Amadeusz, pod grozą śmierci, wymienił nazwę i adres szlchetnego wydawnictwa, które miał zaszczyt reprezentować, to jednak mało przekonało patryjotów.

— Przyzwoci ci dziennikarze nie mają tu wogóle od lat dwudziestu żadnych interesów, a w dodatku jak przychodzą, to idą do drzwi, a nie myszkują pod oknami.

— Ależ, panowie, jestem Francuzem i nie mam żadnych związków z kształtowaniem się spraw w Portugalji, — próbował tłumaczyć się Amadeusz.

— Zaraz to zobaczymy, — ryknął mąż z puginałem, — a teraz bez wykrętów i proszę odpowiadać szczerą prawdę, bo już mi się to wogóle nudzi, a jak pchnę, to wszelkie gadanie będzie nieaktualne.

— Powiem wszystko, — wykrztusił Amadeusz.

— Doskonale! a więc widziałeś generała don Alwara wchodzącego do tego domu?

— Nie, puść pan bo boli... aj!... widziałem, widziałem!!!

— A więc to generał d'Argamasilla przysłał cię tutaj?

— Nie!!! tak!!!... naturalnie pamiętam doskonale, ma wielkie rude wąsy i okropnego zryza w prawym oku.

— Więcej nie trzeba, — krzyknęli razem obaj.

— Będę mówił choćby do jutra, — próbował tłumaczyć nieszczęśliwy korespondent.

— Nie trzeba, wiemy wszystko, — i większy z drabów wpakował mu do ust knebel, wyjęty na czas przesłuchania.

— Gibaj, Pedro, do kuchni i przynieś jakichś szmat, by nie zajuszyć dywanu.

Mniejszy z patryjotów znikł za kotarą, a Amadeusz obliczywszy szybkość jego ruchów z przypuszczalną odległością od kuchni, gdzie leżały przypuszczalnie na stole pod oknem nieodzowne szmaty, począł intensywnie myśleć o pani Yvette, której kiedyś przysiągł, że pragnie umrzeć z jej imieniem na ustach.

I właśnie zdążył dojść do przekonania, że Yvette była miła, ale cokolwiek za chuda, gdy z za kotary rozległ się czyjś głos.

— Ach! co za głupstwo, dajcie zaraz pokój chłopcy temu panu.

Potem jakieś tłumaczenie półgłosem i znowu...



— Ależ nie, schowaj swe dobre chęci na potem, to jest naprawdę dziennikarz, który dziś rano przyjechał z Paryża i dlatego tak śmiesznie się zachowuje.

Kotara rozsunęła się... Pedro wszedł, poszeptał coś ze swym towarzyszem i obaj patrjoci podnieśli Amadeusza z ziemi, otrzepali starannie z pyłu, większy własnym grzebieniem poprawił mu zburzony rozdziałek na głowie, poczem wypchnęli go do westybulu...

Tam jakiś siwy pan uściśnął mu kordjalnie rękę i włożył do kłapy rozetkę oficerskiego krzyża „Św. Katarzyny Męczennicy“, poczem, uściśnąwszy jeszcze raz prawicę, wypchnął delikatnie za drzwi, podkreślając, że dyplom, bez opłaty i taksy, zostanie mu doręczony na adres redakcji.

Amadeusz wyszedł rozmyślając, że jednak kształty Yvetty nie były znów tak ostre, jak je ocenił przed chwilą.

Zapadał już wieczór. Amadeusz był zmęczony swemi niepowodzeniami i mimo, że wtorkowy termin wisiał nad nim, jak miecz Demoklesa, poszedł do hotelu, zjadł kolację, położył się spać, klnąc przez cały czas członków i klub „EX“, który o mało co nie doprowadził go, u szczytu kariery, do mało tentującej roli ex-zdolnego feljetonisty.



## VIII.

## BARMAN.

Następnego dnia była niedziela. Amadeusz i jego wydawca zapomnieli, że dzień ten należało wykreślić w obrachunku czasu, gdyż załatwienie czegośkolwiek w niedzielę na terytorjum Zjednoczonych Królestw, jest niemożliwością. To też, zorientowawszy się poniewczasie, Amadeusz, wściekły na świat, siebie i Anglików zeszedł koło godziny jedenastej do czytelnicy hotelowej, by dowiedzieć się przynajmniej co słychać na świecie.

By rozproszyć zdrętwienie karku, które, jako rezultat spotkania z Portugalczykami, prześladowało go dokuczliwie, Amadeusz mimo wczesnej pory zażądał whisky i wody sodowej, mniemając słusznie, że na drętwość zarówno fizyczną, jak i umysłową, alkohol, niebýt rozcieńczony wodą, jest wielce skuteczny.

Garson, przyniósłszy tacę — położył przy niej nieśmiało jakiś papier czy prospekt.



— Cóż to takiego? — spytał Amadeusz.

— Program nabożeństwa w naszym kościele, — powiedział garson, — dziś jest niedziela, a szanowny pan jest cudzoziemcem i przypuszczalnie nie posiada miejsca zamówionego w żadnej kaplicy.

— Po nabożeństwie mógłbym pana zaprowadzić do naszego klubu w podziemiach kościoła, gdzie mamy doskonały basen do pływania. Wiem, że pan jest dziennikarzem, — dorzucił, motywując swą obcesowość.

Amadeusz, przerzucając kartki programu, zaopatrzone winjetką, wyobrażającą siedem grzechów głównych i dwa pastorały, przekonał się, że kościół, proponowany przez garsona, jest kaplicą „Episkopalnego Kościoła Powszechnego“ przy Klubie „Centrum“ Zawodowego Związku służby domowej i hotelowej.

— Dobrze, — powiedział do garsona, oczekującego z niepokojem, jak gość zareaguje na propozycję, — dobrze, pójdę z panem chętnie tembardziej, że z powodu pewnych zdarzeń w jakich brałem udział wczoraj słusznym będzie, gdy podziękuję dobremu Bogu za rozetkę orderu „Św. Katarzyny Męczennicy“. Kiedy musimy wyjść?

Garson odpowiedział, że zaraz, gdyż nabożeństwo zaczynało się o godzinie wpół do dwunastej, więc mieli tylko piętnaście minut czasu. On kończy już swe zajęcie, jeśli więc pan Mugué decyduje się, to winien zaraz

wypić whisky i udać się do swego numeru po kapelusz i parasol.

Po kwadransie Amadeusz i jego nowy znajomy, John Mathews wchodzili w podwoje „Episkopalnego Kościoła Powszechnego“, gdzie, jak to było uwidocznione w programie, punktualnie w tej chwili właśnie rozpoczęło się nabożeństwo.

Po nabożeństwie, które ubiegło wśród chóralnego śpiewu zebranych i melodyj, wydobywanych z organów przy pomocy wcale zgrabnej panienci, Mathew zaprowadził Amadeusza do klubu, gdzie go zresztą pozostawił po chwili własnemu losowi, zaznaczając, że ma coś do załatwienia w zarządzie.

Amadeusz przyjrzał się kąpiącym w basenie, przerzucił wydawnictwa w czytelnicy, wreszcie nie mogąc doczekać się powrotu Johna poszedł do baru, gdzie zamówiwszy tym razem Gin i szklankę gorącej wody, rozmyśliwać począł, jak dziwnie jednak układają się jego losy.

Przyjechał tutaj, by dokonać wywiadu z prezesem klubu „EX“, klubu z członkami o krwi tak błękitnej, jak błękitną jest ultra-maryna na kiczach malarzy, malujących morze w ciemnych pracowniach na szóstych piętrach Montmartre'u, a tu stracił dwa dni i zamiast u „ex'ów“ siedzi sobie, jak gdyby nic, w klubie Centrum, którego członkowie bardzo możliwe, że po-



siadają prawo wstępu choćby w charakterze zawodowym nie tylko do ex-władców, ale i do samego „EX“, który dla niego, Amadeusza, zamknął zazdrośnie swoje podwoje.

Nagle Amadeusz podskoczył, tknięty olśniewającym pomysłem — prędko, gdzie tu zarząd?... gdzie?... przepraszam! prosiłbym na chwilę mr. Johna Mathews... drogi panie, chciałbym pana prosić o listę członków „Centrum“, musicie ją mieć pod ręką... chciałbym, chciałbym poszukać kogoś znajomego...

Żądaną listę doręczono Amadeuszowi niezwłocznie i po krótkich studjach, prowadzony przez nieznanego nawet swojej wartości Johna, udał się do salki z basenem, gdzie Mathews przedstawił Amadeusza panu w ciemnym garniturze o twarzy przypominającej w ogólnych zarysach oblicze Buster Keatona.

— Jestem Joe Pinczower, amerykańnin, — powiedział, — należę do sekcji pływackiej naszego klubu i pełnię w niej odpowiedzialne funkcje startera.

— A ja jestem Amadeusz Mugué, człowiek, który się nudzi. Podróżowałem wiele na świecie i dużo słyszałem o pana niezwykłych zdolnościach.

— Staram się jak umiem, — odparł Joe, — ale jeżeli pan tak dużo podróżował, to pan musi znać Izydora Pinczowera, kapelmistrza „Metropolitan Opera“ w Nowym Jorku.

— Znam.

— To mój brat, a Hermana Pinczowera z Berlina, dentystę, zna pan? Już jego to pan musi znać.

— Znam.

— Mówiłem, Hermana musi znać każdy, kto zna Berlin, on jest bardzo bogaty... to też mój brat. — I mówiąc to Pinczower Joe spojrział triumfalnie na Mathews'a, gdyż rzeczywiście mało kto z obecnych mógł się pochwalić tak sławnym rodzeństwem.

— A panu jak się powodzi? — spytał Amadeusz.

— Przy moich zdolnościach, mogłoby mi się powodzić znacznie lepiej, — odparł smętnie Joe, — ale w przeszłym roku zbankrutowałem w Nicei i by się trochę podreperować musiałem przyjąć posadę barmana w jednym takim śmiesznym klubie tutaj. Płacą kolosalną pensję i do tego jeszcze dodatki, zwłaszcza za cocktail: siedem na siedem.

— Jakiż to? nie znam, — Amadeusza zainteresował ten temat prawie że bardziej od kwestji klub „EX“.

— Zaraz panu powiem, jest to sztuka rekordowa, w której nie mam konkurenta na świecie. Polega na tem, że prawą ręką mieszam cocktail z siedmiu płynów jednocześnie zonglując lewą ręką siedmioma czarkami, które następnie napelniam, z tem, że w oznaczonej mierze jedna kropla nie zbywa, ni nie brakuje.

— Czyż to możliwe?



— Pan nie wierzy? To już widzę, że musimy pójść do baru i przerobić rzecz w praktyce... Hallo, Bob!

Pinczower przywołał wysmukłego blondyna:

— Zastąp mnie przy chronometrze, muszę odejść na chwilę.

Popis Joe'go przeszedł bezwątpienia opowiadanie. Pinczower nie krył swej dumy, tembardziej, że przyrządzona mieszanina była pod względem zrównoważenia płynów czemś poprostu niedoścignionem.

— Teraz pan rozumie, że ci panowie mogą mi płacić za moje zdolności pieniądze, które mi pozwolą otworzyć znów własny lokal. Ale teraz osiądę w Paryżu, do Nicei nie wrócę. Oj, ten Paryż... Paryż...

W tym momencie Amadeusz przypomniał sobie Joe'go; istotnie przed rokiem musiał zwijać swój popularny zakład, gdyż w czasie żonglerki przychwycono go na podawaniu gościom porcji kokainy. Nałożona kara pociągnęła bankructwo, a może jedynie konieczność zniknięcia na pewien czas z pola widzenia policji francuskiej.

— Panie kochany — zaczął Amadeusz, będąc już teraz pewien, że przemiły barman jest człowiekiem wogóle do rzeczy, — pan jest barmanem w klubie „EX“.

— Dlaczego nie mam być? — odpowiedział Joe, patrząc swemi antylopiemi oczami prosto w twarz

Amadeusza, który wysunawszy z kieszeni różek książeczki czekowej wygłosił, jakby odniechceni:

— A ja, jak to już mówiłem, jestem człowiekiem, który się nudzi, dałbym wiele temu, który wprowadziłby mnie, choć na chwilę do lokalu klubu „EX“.

Joe zrobił niesłychany grymas.

— Ja nie uwierzę, by człowiek tak popularny jak pan redaktor mógł się nudzić kiedykolwiek... Daj pan pokój z tym kajetem, na pewno zarabiam przez tydzień więcej, niż ten pański wydawca dał panu na całą wyprawę. Już ja panu wszystko urządzę, o jedno tylko proszę, by za siedem miesięcy, gdy przyjadę do Paryża, napisał pan o mnie dobre słowo. Co?

— Zgoda, — zawołał Amadeusz, — ale jak to zrobimy?

— Uważaj pan, ja jestem starszym barmanem i mam do pomocy czterech mixerów, dziś jest niedziela i dlatego w klubie będzie tylko dwóch. Może się tak zdarzyć, że z tych dwóch jeden nagle zachoruje. Może się zdarzyć... wszystko się może zdarzyć. Otóż, jak jeden zachoruje, to ja przyprowadzę zastępcę, zastępcę tylko na ten jeden wieczór. Uważaj pan tylko na jedno, tam jest starszy kamerdyner Hübner, Niemiec, straszna piła, jak jemu coś się nie podoba, to wszystko przepadło. A teraz dowiedzenia, muszę już iść w jednej sprawie do miasta. Punkt wpół do siódmej bądź pan u mnie, pod tym



adresem, i jeszcze jedno: daj mi pan jakieś tysiąc franków.

— Służę!

— To na lekarstwo dla tego, co zachoruje, — powiedział Joe i pożegnawszy Amadeusza znikł za drzwiami.

## IX.

### AMADEUSZ I.

Punktualnie o godzinie wpół do siódmej Amadeusz stawił się w mieszkaniu Pinczowera.

— Doskonale! — powitał go Joe, — załatwiłem wszystko. Burton pojechał do narzeczonej, którą przypuszczalnie złapie w niemiłym dla siebie towarzystwie, gdyż była pewna, że będzie on dzisiaj zajęty. Nic nie szkodzi! O ile tylko Hübner nie przewącha czegoś, powodzenie jest murowane.

— Więc jedziemy! — pilił pisarz.

— Zaraz, muszę objaśnić jeszcze pana, jakie tam będą obowiązki. Burton był specjalistą od zamrażania kieliszków i otwierania butelek szampana, tak by korki trafiały w tarczę herbową tego z książąt, który butelkę zamówił. Pomocnik po lewej jest specjalistą od innych gatunków wina i podaje mi tylko potrzebne butelki. Jest to łatwiejsze, ale wątpię by zgodził się na zamianę ról bez trzymiesięcznego wymówienia. Jest on labou-



rzystą i w kwestjach pracy trzyma się drobiazgowo przepisów.

— Doskonale! Będę otwierał szampana, mam nawet w tym zakresie jaką taką wprawę.

— Wobec tego jedziemy.

Joe obejrzał jeszcze Amadeusza od stóp do głów:

— Panowie występują we frakach, ja noszę smoking, pan, panie redaktorze, też włożył frak. No nic, to nie szkodzi, pomocnicy kładą i tak białe kitle, więc przypnie się tylko poły, by nie wyglądały i wszystko w porządku.

Zakończywszy tę rozmowę, obaj spiskowcy na ekskluzywność klubu „EX“ zeszli nadół, gdzie już oczekiwała taksówka, odwożąca stale Pinczowera na wieczorne występy.

W tym samym mniej więcej czasie, w kancelarji klubu „EX“ rozgrywała się następująca scena:

Za szerokim biurkiem, założonem wykazami i rachunkami, siedział starszy kamerdyner Hübner, przed nim zaś z miną niepewną stał, poprawiając spinę u gorsu, młodszy mixer Burton.

— Więc jednak pan wziął od Pinczowera piętnaście szylingów, zgodziwszy się wymówić u mnie chorobą, lub czemś podobnem na dzisiejszy wieczór.

— Tak jest panie Hübner, zgodziłem się pozornie na jego propozycję, chcąc mieć w ręku dowód jego nie-  
lojalności.

— Dowód niełojalności proszę złożyć mnie do depozytu. Jednocześnie muszę stwierdzić, że gdyby nie niejasności w tłumaczeniu, na które, na szczęście, zwróciłem uwagę, pan, panie Burton, istotnie nie przyszedłby dziś wieczór na swe stanowisko. Wątpię bardzo, czy zarząd słuchać będzie wyjaśnień tak mętnych i poprostu powiem niewiarogodnych.

— Panie Hübner, niech się pan zlituje, — błagał nieszczęsny Burton, — sam nie wiem, co mnie skusiło...

W tej chwili przy drzwiach wejściowych zadzwieczał dzwonek.

— O! Joe z tym panem!

— Wynos mi się stąd! na swoje miejsce! — krzyknął Hübner, — i ani krokiem gdzieindziej. A z Joe'em zaraz pogadamy.

Tymczasem portjer przepuścił obu przybyszy. Joe, cokolwiek stremowany, gdyż starszy kamerdyner znany był ze swej surowości, udał się do kantoru, by omówić sprawę zastępstwa.

— Dobrze, że pan już jesteś, panie Joe Pinczower, — Hübner groźnie zmarszczył brwi na widok wchodzących, — dobrze, że pan już jest, panie Joe. Właśnie będę telefonował po policję, by zabrała stąd



tego szpiega z panem razem. Co? to jest coś pikantnego, nie, na dzisiejszy wieczór.

Joe stropił się nie na żarty, bo choć czuł się w znaczeniu paragrafów prawa niewinnym, słowo „policja“ działało nań od czasów nicejskich niemile.

— Panie Hübner, — zaczął perswazję, — to nie żaden szpieg, ani rewolucjonista, to mój znajomy, pan Amadeusz Mugué, dziennikarz. Po co panu policja? Nie ma pan innych zmartwień?

Hübner nastroszył się jeszcze bardziej:

— Patrz pan, Burton złożył mi tu do depozytu pieniądze, które mu pan dałeś za przyprowadzenie tego oszusta. Czy to jest prawidłowe — powiedzą panu w inspekcji.

— Panie Hübner! Nie gub pan mojej duszy, — wyszeptał Joe.

Ober-kamerdyner przetarł binokle, które zakładał przy sprawdzaniu rachunków.

— Ha, gdyby się pan przyznał szczerze, ile ten pies dziennikarz zapłacił panu za tę sztukę, podjąłbym się bronić pana przed zarządem.

Joe Pinzower nie był gapą, zorjentował się więc odrazu.

— Dziennikarz dał mi za przysługę cztery funty, panie Hübner, — zameldował, — funt z tego dałem Burtonowi...

— Piętnaście szylingów, — poprawił kamerdyner.

— Tak, piętnaście szylingów, wobec czego trzy funty i pięć szylingów składam niniejszem panu do depozytu.

— Dobrze, a teraz idź pan na swoje miejsce, a z bubkiem już ja sam się załatwię.

— Jeszcze jedno, panie dyrektorze; dziennikarz obiecał w razie, gdybym mu umożliwił spędzenie w klubie dzisiejszego wieczoru rozreklamować lokal, który zakładam na przyszłą jesień w Paryżu, gdyby tak pan...

Hübner zmarszczył brwi.

— Nic nie słyszę! — zawołał. — Boy, tego pana, co przyszedł z ober-barmanem, do mnie!

Mijając się we drzwiach z Amadeuszem, Joe miał tylko tyle czasu, by dać temu ostatniemu ledwie dostrzegalny znak, jakgdyby ktoś sprawdzał palcem wielkim i wskazującym gatunek papieru w banknocie.

Ober-kamerdyner w stosunku do dziennikarza zastosował inną taktykę... Poprosił go o zajęcie miejsca, poczęstował cygaretką i, uśmiechnąwszy się dobrodusznie, rozpoczął:

— Wiem wszystko. I cóż pan myślał, panie redaktorze, organizując tę hecę? Dla pana jest to igraszka, temat do noweli, a czy zastanowił się pan, że dając pieniądze na ten cel zagraża pan podstawom ich bytu?



Amadeusz zrobił ruch przeczący głową.

— Bardzo wierzę! — ciągnął dalej Hübner, — ale fakty są faktami. Zarząd klubu jest nieubłagany i ludzie ci zostaną ukarani, narazie przewidzianą w umowie grzywną.

— Nie mogę na to pozwolić! — zaprotestował żywo Amadeusz.

— Nic nie poradzę, nie trzeba było broić, — i oberkamerdyner pokiwał głową. — A grzywna wyniesie koło dziesięciu funtów.

Amadeusz zorjentował się o co chodzi.

— Pan mi pozwoli w takim razie, — oświadczył, — że złożę tych dziesięć funtów na pana ręce.

Oberkamerdyner skinął głową, wobec czego ośmielony Amadeusz, dobywszy jeszcze jeden banknot, zakończył:

— Wobec tego, pozwoli pan złożyć na swoje ręce jeszcze pięć funtów dla boy'a, który mnie nie odprowadzi do drzwi wyjściowych.

To mówiąc, Amadeusz wstał i, ukloniwszy się Hübnerowi, otworzył drzwi.

— Na lewo! — usłyszał gromowładny głos, w chwili gdy przestępował próg.

Posłuszny wezwaniu, Amadeusz skierował się na lewo. Był tam korytarzyk oświetlony dość ciemną lampką. Po obu stronach znajdowały się drzwi. Ama-

deusz otworzył prawe — była to szafa ścienna, napełniona przyborami do froterowania podłóg; otworzył lewe — była to ubikacja o charakterze specjalnym. Pozostawały jeszcze drzwi nawprost, przypuszczalnie właściwe, gdyż trudno było przypuszczać by Hübner chciał go ulokować w klozecie lub szafie ze szczotkami.

Nie namyślając się więc dalej, genialny feljtonista otworzył drzwi środkowe, decydując się raczej na stoczenie boju z legionem krwiożerczych Portugalczków, niż na opuszczenie bez walki tak trudno zdobytej pozycji.

Za drzwiami było ciemno. Wyszukał pstryczek od lampy i zapaliwszy światło zorjentował się, że był w małym pokoju, zastawionym szczelnie szafami bibliotecznymi. Jedynie w rogu, przeciwnym do kominka, znajdował się niewielki bar, przeznaczony widocznie dla wygody czytających.

Aha! — pomyślał Amadeusz, — ten pokój jest mało uczęszczany i tu widocznie mam oczekiwać stosownego momentu, by przedostać się do innych sal. Doskonale!

Okrzykowi Amadeusza towarzyszyło ciche chrupnięcie klucza w zamku...

— A niech cię! — genialny feljtonista skoczył ku drzwiom.

Niestety! Solidne, dębowe podwoje zamknięte zostały z zewnątrz przypuszczalnie przez pomyslowego



ober-kamerynera, gdyż bezpośrednio po zamknięciu usłyszał Amadeusz jego głos, wydający jakies dyspozycje na korytarzu.

Sytuacja była paradoksalna: zwyciężywszy wszystkie przeciwności, dostał się do zaczarowanego Sezamu po to, by przesiedzieć w nim, zamknięty, odosobniony od ludzi i zdarzeń. Próżne okazały się zabiegi otworzenia rygli, lub zmaistrowania czegoś przy zamku. Przeznorny Hübner pozostawił w dziurce klucz, który przy braku odpowiednich narzędzi uniemożliwiał wszelkie próby oswobodzenia.

Przekonawszy się rychło o bezcelowości swych wysiłków, Amadeusz zmobilizował sobie z szafki przy barze butelkę cognac'u, cytryn, Vermuthu, lodu i kilka flakonów z przyprawami — i rozsiadłszy się wygodnie w jednym z foteli rozpoczął studjować wymienione wyżej substancje z pedanterją, będącą cechą właściwą jego charakteru.

Z głębokości lokalu, widocznie w chwilach otwierania jakichś dalekich drzwi, dobiegał sporadycznie gwar, a nawet tony muzyki. Przekonany jednak o swej bezradności Amadeusz przestał się niemi zajmować, dochodząc stopniowo do wniosku, że gin mieszany z Vermuthem (byle nie za dużo Vermuthu), jest stanowczo lepszy, niż analogiczna kombinacja — porto z Cognac'em. Stan ten trwał bezzmiennie do godziny wpół do

pierwszej. W chwili tej — ani wcześniej, ani później — jego wysokość ex-władca Platanji, Mściwoj XII, syn i następca wynalazcy Platanusa, używający dla wygody nazwiska hrabiego Pawła Mestwina, przeprosiwszy towarzystwo, udał się pieszo tam, gdzie przysłowię pozwalało nawet królowi użyć tego właśnie środka lokomocji.

Wychodząc z zacisznego ustronia, hrabia Mestwin, przypuszczalnie na skutek działania genjalnej mieszanki „siedem na siedem“, wziął kurs czterdziestu pięciu stopni na lewo, zamiast na prawo, i pozęgłował, odbiwszy się o znienacka porozstawiane ściany, w kierunku biblijoteki.

— Kto tam? — spytał Amadeusz, słysząc jakies skrobanie przy drzwiach.

Nikt nie odpowiedział. Skrobanie, jak gdyby ktoś mocował się z przeciwnościami, nie ustawało.

Amadeusz, nie wiedząc kogo odgłosy te zwiastowały, sprzątnął prędko butelki i usadowiwszy się za barem oczekiwał.

Po chwili drzwi się otworzyły i wynikł z nich, raczej niż wszedł, Mściwoj. Książę-pretendent Platanji, zrobiwszy małe „s“ po dywanie, spostrzegł Amadeusza.

— Co? Już wszyscy wyszli?

— Moje uszanowanie, — odparł feljetonista.

— Rzeczywiście! A mnie się zdawało, że byłem tylko



przez jedną chwilkę, zaraz..., — i widocznie jego wysokość zorientował się, że jest w bibliotece.

— Co ty tu robisz? — zapytał Amadeusza, przypatrując mu się przez monokl, który udało mu się osadzić w oku.

Amadeusz usiłował schwycić jakieś rozsądne, jak mniemał, wyjaśnienie:

— Zastępuję Burtona, który w dniu dzisiejszym czuł się niedobrze i nie mógł przyjść do zajęcia.

— Żołądek? — spytał niespokojnie książę.

— Żołądek, nerki, wątroba i jeszcze coś w mleczu pacierzowym, — bez wahania odparł Amadeusz.

— Biedny człowiek — westchnął książę, — ale to dziwne, że rozchorował się tak prędko. Przed chwileczką, najwyżej trzy minuty temu, widziałem go, jak otwierał szampan w wielkiej sali, strzelając do tarczy jego wysokości Babu Joomper'a. W każdym razie, to bardzo ładnie ze strony zarządu, że tak prędko postawił zastępcę. Bardzo ładnie.

Książę obrócił się w stronę drzwi:

— Muszę iść zaraz do Hübnera, wyrazić mu swe najwyższe zadowolenie.

— Czekaj pan, na miłosierdzie Boskie! — zawołał Amadeusz, chwytając księcia za rękaw. — Nie jestem żadnym barmanem, jestem Amadeuszem Mugué, do usług waszej wysokości.

— Bardzo miło poznać, — powiedział książę, — a co pan pije?

— Dużo, — odpowiedział Amadeusz, — zwłaszcza jeśli towarzystwo dopisuje.

— Bracie! — zawołał książę, — słowo ci daję, tylko bądź dyskretny, w tym kraju nikt pić nie potrafi!...

— Nawet Szkoci?

— Nawet Szkoci!

— „Aux armes citoyens“! — zanucił Amadeusz, wyciągając butelki z ukrycia na parapet baru. — Co?

— Doskonale, tylko bez citoyen'ów, bo w lokalu tym znajdują się przecież sami ex-tyrani.

I, mówiąc to, Mściwoj wypił duszkiem kielich mieszaniny przyrządzonej przez Amadeusza.

Po pierwszej kolejce poszła druga i trzecia, przy czwartej Mściwoj zwrócił się do Amadeusza:

— Ach! jaka to szkoda, że nigdy nie byłeś królem, to nie do darowania. Tam w dużej sali Pinczower mieszka taki doskonały „siedem na siedem“, że przechodzi ludzkie wyobrażenie. Musimy tam zaraz iść, a nawet zaraz postawię twoją kandydaturę do EX'ów“, tylko przypomnij sobie, może byłeś jednak królem kiedykolwiek — to będzie łatwiej!

Amadeusz zastanowił się chwilę.

— Owszem, byłem raz królem „migdałowym“ na



zabawie u państwa Leprince w Besançon, — odpowiedział, — ale boję się, czy to wystarcza.

— Ja także się boję! — Mściwojowi lzy stanęły w oczach, — chodźmy zaraz do prezydjum, które musi wyjaśnić nam tę wątpliwość.

I nowi przyjaciele, wzięwszy się pod ramię, poszli do wielkiej sali, gdzie zabawa znajdowała się właśnie w punkcie kulminacyjnym.

Tam Mściwoj XII przedstawił zebranym genialnego feljetonistę, jako Amadeusza I, poczem Amadeusz, zgodnie z powagą chwili i tradycją, kazał podać osiem kolejek szampana, gdyż tyle liter zawierało jego imię.

Spowodowało to, oczywiście rzecz, szereg toastów, tok których przerwał dopiero herzog Neudek-Pomperode, który usłyszawszy niedokładnie tytuły Amadeusza, zwrócił się doń z zapytaniem:

— A gdzie to wasza wysokość była królem?

— W Besançon, u państwa Leprince.

— Aha! znam, znam, — uspokoił się herzog.

Było to jednak sygnałem, by żartu nie przeciągać za daleko, wobec czego Mściwoj XII zwołał posiedzenie zarządu, który wysłuchawszy motywów, wydał orzeczenie, że: „jakkolwiek Amadeusz Mugué nie może być przyjęty na stałego członka klubu „EX“, jednak, zważywszy, że istotnie przez jeden wieczór był „królem“, a w dodatku przez swe osobiste walory staje się królem

zabawy każdego towarzystwa, przyjęty zostaje, tytułem wyjątku, na okres tak długi, jak trwało jego królestwo, to jest na dzisiejszy wieczór“.

W trakcie czytania powyższego orzeczenia, oberkamerdyner Hübner przyniósł na szkarłatnej poduszce odznakę klubu, którą przypięto Amadeuszowi poniżej rozetki orderu „Św. Katarzyny Męczennicy“.

Po tej uroczystości zabawa rozpoczęła się na nowo i trwała aż do białego ranka, przyczem Amadeusz zdołał wydostać zezwolenie od księcia Lothara na opisanie swych przygód w serji feljetonów.

W ten sposób umiał łączyć nasz bohater przyjemność z pożytkiem swego wydawcy.



IX.

O TEM JAK AMADEUSZ I ZOSTAŁ STAŁYM  
CZŁONKIEM „EX'ÓW“.

Gdy następnego dnia Amadeusz przybył na lotnisko w Craydon, by zająć miejsce w samolocie paryskim, zdziwił go niezmiernie widok Mściwoja XII, zwanego potocznie hr. Pawłem Mestwinem, siedzącego w pełnym podróznym rynsztunku koło pilota.

— Zdecydowałem zmusić tych Turków, by cię przyjęli na stałe do „ex'ów“, — powiedział hr. Paweł.

A gdy Amadeusz próbował przekonać go o kruchości swych migdałowych praw, hr. Paweł przerwał mu bezceremonjalnie:

— Nie zawracaj głowy! mam doskonały plan i wykonam go najdalej w ciągu miesiąca. Nie znasz jeszcze Mściwojów. Mój świętej pamięci papa, jak go zdetronizowali piętnaście lat temu, ubrał kochanych Platańczyków w taką maszynkę, co to ani „be“, ani „me“, a ugryźć jej nie mają z której strony... Jeszcze to nie skończone!

Co zaś do twojej sprawy, to opowiem ci szczegóły, jak wylądujemy w Le Bourget.

Z tem odlecieli...

...I widocznie projekty hrabiego Pawła okazały się, jeśli już nierealne, to w każdym razie zachęcające, gdyż w dwa tygodnie potem, stwierdzono zniknięcie obu przyjaciół w niewiadomym kierunku.

W pierwszej chwili wywołało to nawet poważne zaniepokojenie rządu republiki platańskiej, gdyż, jak zwykle, plotka zaopatrzyła podróż Mestwina zapowiedziami rychłego przewrotu dynastycznego. Ścisłe jednak dochodzenie armji tajnych emisariuszy, wysłanych specjalnie, w celu zbadania szczegółów, ustaliło niezbitnie, że pretendent, w towarzystwie żurnalisty Mugué, udał się do Algieru, gdzie odebrawszy z przedstawicielstwa Renault, oczekujący na jego przybycie, specjalny wóz gąsienicowy, udał się w kierunku Sahary.

Chodziło więc przypuszczalnie o jakiś dalszy raid turystyczny, gdyż samochód zaopatrzony został w małą radjostację połową, większą ilość zapasów broni i benzyny.

Potem ślad podróżników zaginął ostatecznie...

Dopiero w dwa tygodnie po wyjeździe, stacje radiotelegraficzne obu półkul zostały zasypane literalnie komunikatami, nadawanymi przez tajemniczą centralę.

Komunikaty te brzmiały:



„My z łaski Bożej Amadeusz I...

...król Humbu, wielki książę Mambu etc., etc.,

...czynimy wiadomem wszem wobec i każdemu osobna, że w dniu piętnastego bieżącego miesiąca objęliśmy władzę nad krainami Humbu i Mambu, oraz nad naszym wiernym ludem kraj ten zamieszkującym“.

Dan w rezydencji naszej w Humba-Jumba.

Podpisano: *Amadeusz I Rex.*

Następnego dnia tajemnicza centrala wysłała na świat nowe sensacyjne wieści:

„Najjaśniejszy Pan podpisał dzisiaj następujący dekret:

Do

Pana HO-Maru  
Wielkiego Czarownika  
w Humba-Jumba.

Stosownie do art. 24 konstytucji, mianuję Pana Prezesem Rady Ministrów“.

*Amadeusz I Rex.*

Prezes Rady Ministrów

*dr. Ho-Maru.*

Następny dzień przyniósł znów nowe sensacje. Centrala w Humba-Jumba nadała aż trzy komunikaty, dając dowód, że praca państwowo-twórcza, w nowoutworzonym królestwie, postępowała żwawo naprzód.

Komunikaty te brzmiały:

Komunikat I.

„Na zasadzie art. 25 konstytucji, zwołuję Wielką Radę Czarowników do miasta stołecznego Humba-Jumba od dnia 18 b. m.“.

*Amadeusz I Rex.*

Prezes Rady Ministrów

*dr. Ho-Maru.*

Komunikat II.

„Na zasadzie artykułu 26 konstytucji odraczam posiedzenie Wielkiej Rady Czarowników na dni 30“.

Podpisano: *Amadeusz I Rex.*

Prezes Rady Ministrów

*dr. Ho-Maru.*

Komunikat III.

„Na zasadzie artykułu 27 konstytucji rozwiązuję Wielką Radę Czarowników“.

Podpisano: *Amadeusz I Rex.*

Prezes Rady Ministrów

*dr. Ho-Maru.*

Nie ulegało już teraz najmniejszej wątpliwości, że na pograniczu posiadłości francuskich i belgijskich, gdyż tam właśnie ustalili geografowie położenie wioski Humba-Jumba, powstało nowe, nawskróś „moderne“



państwo, posiadające nietylko obszar i ludność, bo o to jeszcze w Afryce stosunkowo łatwo, ale i sprężystą, świadomą swoich celów — władzę.

Tego było już za dużo mocarstwom, zazdrosnym o swój stan posiadania.

Na tajnej naradzie przedstawiciele sztabów generalnych Anglii, Francji, Belgii oraz Włoch, (które, jakkolwiek niezainteresowane, ze względów prestiżowych zażądały udziału), postanowiono wysłać niezwłocznie ekspedycję i zlikwidować niebezpiecznego konkurenta.

Podział zadań ustalono w ten sposób, że: eskadra angielska winna była zablokować wybrzeże Kości Słoniowej, Belgijczycy zobowiązali się wysłać bataljon zulusów i dwa samoloty, Francuzi zapewnili ogólne kierownictwo akcją, desygnując znanego generała, któremu, ze względu na awans, potrzebny był cenzus dowództwa „*en chef*“ armji w polu, Włochom zaś przyznano monopol na zdjęcia filmowe.

W razie ewentualnego nieudania się ekspedycji, przedstawiciele sztabów generalnych reprezentowanych mocarstw postanowili zwrócić się do swych rządów z wnioskiem o mianowanie rezydentów dyplomatycznych w nowokreowanej stolicy.

Projektowana tak sprężysta wyprawa doszłaby bez wątpienia do skutku, nawet wbrew sprzeciwom „Ligi

Obrony Praw Człowieka i Obywatela“, gdyby po trzech dniach centrala w Humba-Jumba nie opublikowała następującego dokumentu, poprzedzonego krótkim komentarzem.

Komentarz: „Jak się dowiadujemy, wszelkie pogłoski o zamierzonym nagłym wyjeździe Najjaśniejszego Pana są nieprawdziwe“.

Dokument:

„My Amadeusz I

z łaski Bożej Król Humba i Wielki Książę Mambu etc., etc., ...czynimy wiadomem wszem wobec i każdemu z osobna, komu wiedzieć o tem należy, a w szczególności naszym wiernym poddanym, że w następstwie ingerencji władzy ościennej, a mianowicie pana starszego wachmistrza Dupont, który dnia dzisiejszego stawił się w naszej rezydencji, żądając jeszcze jednej butelki Calvados'u, postanowiliśmy, chcąc uniknąć nieszczęść, które w razie nadużycia tego trunku mogłoby spaść na kraj i jego stolicę, zrezygnować z naszej władzy, praw i prerogatyw na rzecz dziedzicznego wójta miasta Humba-Jumba, Wielkiego Czarownika Ho-Maru“.

„Udajemy się obecnie na wygnanie, gdzie podnieśliśmy kategoryczny protest przeciwko zgubnym nalogom pana starszego wachmistrza Dupont, tam też nasi wierni poddani winni wysłać delegację w razie zmiany



warunków, umożliwiających powrót nam lub naszym następcom w linii prostej lub pobocznych“.

Podpisano: *Amadeusz I Rex.*

Prezes Rady Ministrów  
*dr. Ho-Maru.*

Sytuacja była wyjaśniona, tembardziej, że po upływie następnych dwóch tygodni w „Petit-Parisien“ ukazała się serja feljetonów pod wspólnym tytułem: „Jak byłem królem w kraju Humba“.

Nie trzeba dodawać, że na skutek relacji hrabiego Pawła, prezydjum klubu „EX“, przyjąwszy do wiadomości formalnie postawioną kandydaturę Amadeusza, przyjęło go w poczet członków „gdyż jakkolwiek pannał on wszystkiego dni siedem, ale zdążył dokonać szeregu najzupełniej formalnych aktów prawnopaaństwowych, mianować rząd i wejść w konflikt z przedstawicielstwem narodowem. Akt i fakt abdykacji został przeprowadzony też według wszelkich prawideł sztuki“.

Jedynie wieczny malkontent, herzog Neudeck-Pomperode, próbował zakwestjonować fakt sprawowania władzy przez Amadeusza, motywując to, że po pierwsze zarządzenie jego nie było respektowane przez poddanych, a po drugie, że nie pobierał on podatków w Humba, co praktyczny książę uważał za podstawową cechę piastowania berła. Ale przegłosowano go bez trudu, do-

wodząc, że mało gdzie wogóle wola panującego jest respektowana, a co do podatków to książę Monaco, dziedziczny władca Monte-Carlo, właśnie tego rodzaju taktyce zawdzięcza swój bez wątpienia najbardziej malowniczy tron na świecie.

Taką była historia wprowadzenia Amadeusza Mu- gué do klubu „EX“, którą z braku miejsca mogłem przedstawić tylko w najogólniejszych zarysach.



## X.

### CO Z TEGO WYNIKŁO?

Wynikło z tego po pierwsze, drugie i trzecie — bardzo wiele ważnych rzeczy, a poza tem, co było bez wątpienia najważniejsze, Amadeusz Mugué, znalazłszy się w klubie „EX“ wprowadził do tej śpiącej cokolwiek instytucji szereg inowacyj przyjemnych i pożytecznych.

A więc, zważywszy, że stan finansów poszczególnych ex-władców pozostawia wiele do życzenia, zorganizował, przelamawszy swą wymową konserwatywne uprzedzenia ex-ów, a zwłaszcza prezesa księcia Lothar'a, zwiedzanie lokalu klubowego przed południem przez wycieczki amerykańskich milionerów. Nie trzeba dodawać, że uwzględniano tylko wycieczki najbogatsze, wobec czego nie sprawiało to większego zamieszania w zwyczajach „ex-ów“, a przynosiło wcale duże dochody, gdyż yankesi płacili wszelkie żądane sumy za szampan, podany w serwisie maharadży Babu Joonper, lub za pozwolenie siedzenia pięciu minut w fotelu księcia Achillesa Greckiego.

Dalszym etapem było... ale o tem potem! Idźmy lepiej po śladach, które nam dają dokumenty prywatnego archiwum pretendenta Platanji, a więc:

List Amadeusza do hr. Pawła Mestwina.

„Kochany Pawle!

Przedewszystkiem muszę Cię prosić, abys natychmiast spakował swoje dostojne walizy i przyjechał do Paryża.

Tłumaczyłem Ci już kilkakrotnie, że powinieneś się zainteresować cokolwiek losami Twego narodu, bo ja, na przykład, interesuję się żywo krajem Humba i prowadzę nawet korespondencję z dr. Ho-Maru.

Otóż teraz składają się sprawy tak, że nawet taki, jak Ty lekkoduch powinien się trochę zainteresować sprawami publicznymi. Opowiem Ci to pokolei, naturalnie w zakresie na jaki pozwalają rozmiary korespondencji.

W ubiegłą niedzielę byłem w St. Raphael przypa- trzyć się typowi, który nosi miano Żulin, albo raczej ataman Żulin. Jest to bardzo ciekawy człowiek i mam zwyczaj kontrolować go co pewien czas, dla moich celów zawodowych, gdyż pomysły kryminalne tego człowieka przechodzą nawet zakres mojej wyobraźni.

Wyobraź więc sobie, że mój ataman rzucił środowisko Amerykanów, z których głupoty żyje sobie do-



statnio i przeniósł się do Juan les Pins, miejscowości, jak wiesz, skromnej, której bywalcy raczej pożyczają na powrotną drogę, niż dają zarobić niebieskim ptakom. Nie dziwisz się więc, że nie namyślając się długo pojechałem w jego ślady, by zobaczyć, co go tam ciągnie — i wyobraź sobie, że zastałem go w towarzystwie córki kanclerza Twojej ojczyzny, zachwycającej panny Mary.

Rozumiesz mię teraz. Będzie tak: ty przyjeżdżasz w całej romantycznej aureoli księcia na wygnaniu, demaskujesz Żulina, gdyż nie ulega wątpliwości, że ten zbój kombinuje jakieś nowe świństwo. Potem scena nastrojowa o wysokim napięciu, ojciec we łzach powiada: „Co tylko zażadasz, uczynię za ocalenie mego ukochanego dziecka“. A potem w prawo... w lewo... cyk... bum... łomot i... mianujesz mnie u siebie ministrem dworu, albo jeszcze lepiej podczaszym królewskim.

Traktuj więc, proszę, całą sprawę jak najpoważniej, tak jak ja to czynię i przyjeżdżaj natychmiast.

Jedyna to chwila, bym Ci się mógł wywdzięczyc za tron w Humba-Jumba.

Czekam.

Szczerze Ci oddany

*Amadeusz — ex.*

P. S. Spotkałem tam jeszcze Joe'go, mówi, że mu się dobrze powodzi. W Paryżu mu nie szło, a tu idzie. Mam wrażenie, że znów handluje „koksem“.

Hr. Paweł, otrzymawszy tę epistolę, uśmieł się serdecznie na temat legitymistycznych fantazyj wielkiego feljtonisty, niemniej jednak, zapakowawszy się, wyjechał zaraz dnia następnego w kierunku Paryża...

— Ha! — zawołał, — gdy skrzypiąca winda hydrauliczna wyrzuciła go na progu korytarza, na którym odnajmowali kawalerskie pokoje Amadeusz i jeszcze paru malarzy, — kiedyż to zwierzę nauczy się nareszcie mieszkać po ludzku?

— Pan Mugué w domu? — spytał stróżki, borykającej się z przepelnionem wiadrem, pełnem niedopałków i wszelkiego rodzaju obrzydliwości.

— W domu, — odpowiedziała, stawiając wiadro, — ale zajęty.

— Sam?

— Mówię, że zajęty, — zaperzyła się gospodyni, — sam, ale zajęty, mówię po ludzku.

Hrabia Mestwin, widząc, że gospodyni odwraca się, manifestując tem swoją niechęć do przybysza, poszedł nie czekając na dalsze afronty korytarzem w kierunku pokoju Nr. 11 i zapukał...

— Wejść, — usłyszał znajomy głos z wewnątrz.

W pokoju unosiły się smugi dymu, jak mgły nad norweskim fiordem. Amadeusz leżał na szerokim tapczanie i palił, uważnie wpatrzony w sufit, tak jak gdy-



by szukał rozwiązania jakiejś zagadki w mozajce popekanego gipsu na sztukaterjach.

— Siadaj, — powiedział, nie przerywając swych ekscentrycznych czynności, no i cóż sprowadziło cię tutaj?...

— Przyjechałem na twoje wezwanie, choć doprawdy nie wiem, czy potrzebnie się śpieszyłem, — odpowiedział hr. Paweł, lekko urażony zachowaniem Amadeusza.

Genjalny feljetonista zerwał się na równe nogi.

— Ach ty niekoronowana pało, czy nie widzisz, że myślę za ciebie? Przecież gospodyni musiała ci powiedzieć, że jestem zajęty, więc, jak już wszedłeś do środka, to było zachowywać się przyzwoicie, a nie manifestować swą obecność głupimi uwagami. Patrz co tu mam!...

I Amadeusz pokazał przerażonemu Mściwojowi plik arkusików papieru listowego, pokreślonego jakimiś, prawie nieczytelnymi zawijasami.

— Któż to pisał? — spytał Amadeusza.

— Kto! Artysta-mixer, sam pan Joe Pinczower, — odparł zapytany, — czy nie poznajesz w tej pomysłowej ortografii i kaligrafii ręki, przyzwyczajonej do żonglerki siedmioma kieliszkami, lub pół tuzinem cytryn. Ale słuchaj co on pisze! Przedewszystkiem wiedz o co chodzi... Naturalnie o tego Żulina, wolnego atamana, czy

jak go tam. Prosiłem Joe'go, który zna cały świat i jeszcze parę osób, by mi opisał ze swej strony troszkę przeszłość tego pana. Więc teraz słuchaj co Joe pisze...

..., „Ten Żulin, to jest lepszy facet. Jak on się nauczył chodzić po świecie, nie wiem, bo większą część swego życia, to on siedział w kryminale. Najprzód, to on praktykował u sławnych złodzieją w Odesie, ale mu się nie powodziło, choć robił u Afanasia Blednawo Władimirowa i innych. Potem, to nawet był nad nim sąd złodziejski, bo myśleli, że sypie i chcieli go uśpić.

„Ale to było dawno, jeszcze za carskich czasów, kiedy Żulin był całkiem pentak. Potem to niewiadomo, co on robił, może wojnę, może dostawy, może szpionaż, kto go może wiedzieć?! Podobno wyszedł on na wierzch koło Berdyczowa, w siedemnastym roku, kiedy w czasie pogromów wiele brylantów ludzie ruchliwi umieli sobie zebrać na czarną godzinę.

„Po rewolucji przyjechał do Paryża, niby lejbgwardziejec, chodził tu i tam i niejednego naciągnął. Robił różne sztuczki, ale jak ci, co ich łapali, zaczynali je robić w piątek, to Żulin we środę miał robotę skończoną. Puszczal więc w świat brylanty z carskiej korony, sprzedawał akcje naftowe w Baku, organizował wyprawy na pozostawione za kordonem biżuterje i wszystko mu się udawało.

„Dopiero, jak policja francuska wzięła się na serjo



do tej całej hołoty, która przyjechała z prawdziwą emigracją, Żulin znikł znowu na całe dwa lata. Gdzie on był — nie wiadomo. Czy pan myśli, że lis przyjdzie do pana powiedzieć, gdzie podusił gęsie?

„Ja spotkałem go tylko raz; jeśli to Panu potrzebne, to przyjdź Pan do mnie, bo nie mam czasu teraz zostawić interes, to opowiem Panu, jak Żulin oporządził jednego frajera, co miał za dużo pieniędzy.

„Oddany Panu Redaktorowi

*Joe Pinczower,*  
właściciel baru „Cacadu“.

— No i co o tem myślisz? — spytał Amadeusz hr. Pawła, — jak ci się podoba nasz przeciwnik? .

Hr. Mestwin zastanowił się chwilę:

— Jeśli mam być szczery, — odpowiedział, — to najzupełniej nie rozumiem twojego nim zainteresowania. Łobuz, szantażysta, czy poprostu bandyta, jakich setki, co mówię — tysiące, chodzą po świecie. Dlaczego właśnie jego wybrałeś sobie za przedmiot studjów — doprawdy nie rozumiem.

— Czekaj, czekaj! Momencik spokoju i równowagi ducha. Widzisz, ty jesteś prawie król, a co z tego wynika? Jesteś człowiekiem mało orjentującym się w życiu nietylko zwykłych śmiertelników, ale zwłaszcza w zwyczajach świata przestępczego. Otóż musisz wie-

dzieć, że jeżeli taki rekin, który, w dodatku z reguły, posiada jakąś sumę pieniędzy tylko od jednego wypadku do drugiej udanej sztuki, nagle rzuca środowisko tłustych płotek i rozpoczyna skomplikowane manewry około chudziutkiego kielbika, to może znaczyć tylko jedno...

— Co? — spytał książę.

— Oh! kiedy ja nareszcie nauczę ciebie myśleć syntetycznie. Co!?! Znaczy to, że ten kielbik jest więcej wart, niż wszystkie amerykańskie płotki razem wzięte.

— Rozumiem, mówisz mi, że panna Mary Siwiec, córka kanclerza, jest tym kielbikiem.

— Naturalnie!!! Przecież od samego początku tłomaczę ci to z cierpliwością godną lepszego zastosowania.

— Wybacz, wszystko w porządku. Ja nie jestem taki ograniczony, ale naucz się raz na zawsze, że im więcej słów użyjesz dla uwydatnienia treści, tem mniej ja nie-szczęśny zrozumieć potrafię. Dobrze?

— Doskonale.

— Pamiętaj, że nie jestem twoim wydawcą, u którego każde użyte słowo zamieniasz na brzęczącą monetę. A więc do rzeczy, co chcesz zrobić z tym rekinem i kielbikiem? Gadaj, bo chciałbym nareszcie wyjść z tej wędzarni.

Amadeusz zastanowił się chwilę.

— Widzisz, właśnie myślałem nad tem. Przypusz-



czam, że, zanim zabierzemy się do rzeczy, musimy zacząć od przestudjowania metod postępowania tego atamana Żulina.

— Więc co myślisz, królu Humba-Jumba? Linja naszego postępowania jest prosta, jak szosa Petersburg-Moskwa... O której godzinie mamy pociąg do Nicei?

— 11.15!

— Wobec tego zastanów się jeszcze chwilę, — puszczając dym naprzemian w sufit i sprężyny swojej kanapy. Ja zaś idę zamówić sleeping.

— Dowidzenia...

Dzień następnym zastał już obu przyjaciół w Nicei. Odnalezienie baru „Cacadu“ a następnie jego właściciela zajęło parę godzin, gdyż genialny mixer przepadł gdzieś koło godziny czwartej w nocy w towarzystwie dwóch tancerek, które wypiswszy większą ilość trunków w barze oświadczyły gotowość wyrównania rachunku w naturze, na co Joe, mimo swej głowy do interesów, nie umiał zareagować w sensie negatywnym.

Gdy osiągnięto go nareszcie, Joe miał minę dziwnie zmieszoną, ale niezwłocznie przystąpił do sprawy.

— Więc Jego Wysokość interesuje tak przeszłość tego atamana? Zaraz, niech panowie usiądą tutaj, każę podać coś do odświeżenia, bo to potrwa dłużej i służę.

Kelner, przebrany za Indusa, w którym Mściwoj poznał młodszego barmana Burtona, przyniósł syfon i bu-

telki. Panowie orzeźwili się łykiem mieszaniny, a Joe rozpoczął:

— Było to trzy lata temu w Aix les Bains, gdzie byłem przez pewien okres czasu barmanem w hotelu „Ritz“. Bawił tam wtedy nacierz amerykański, Harry Lee, chłopiec lat jakichś dwudziestu dwóch, najwyżej dwudziestu trzech. Chłopak, którego musieli krótko trzymać zanim nie osiągnął pełnoletności, postanowił widocznie powetować sobie stracony czas i szalał w sposób niebezpieczny nawet dla tak olbrzymiej fortuny, jak California Standart Oil Company. Nie mówię już, że przegrywał pieniądze, bo to może się zdarzyć każdemu. Ale wyrzucał poprostu pieniądze za okno, szarpiąc się na wszystkie strony, chcąc za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę.

— Co tydzień zmieniał Harry samochód. Kazał sobie zmieniać co parę dni umeblowanie w apartamencie, twierdząc, że mu zbrzydło i t. d. Wszystko to było dość wulgarne i nie przekraczało możliwości myślowych człowieka, który, jako całe przygotowanie, posiadał jedynie książeczkę czekową na . . . ., w praktyce biorąc — bezdenne conto.

— Aż pewnego dnia przyjechał do Ritz'a hrabia Ludwik de St. Julien, starszy, dobrze szpakowaty pan z młodziutką, może siedemnastoletnią żoną. Ja poznałem zaraz na drugi wieczór, że pan hrabia to nie jest żaden



hrabia, tylko jakiś lepszy ptaszek; nie wiedziałem, że to jest właśnie Żulin. Zresztą, co miałem się mieszać do nieswoich rzeczy.

— Hrabia zabawił w Aix wszystkiego trzy dni, bo, jak twierdził, przyjechał po to tylko, aby zapewnić dobre warunki pobytu i kuracji swojej żonie. Ona taka młoda, taka niepraktyczna...

— Po trzech dniach, jak to już powiedziałem, hr. de St. Julien wyjechał do Normandji, Anglii i Ameryki. Jednym słowem tam, gdzie musiał pilnować swoich kolosalnych interesów... To było tylko charakterystyczne, że tego samego dnia, co wyjechał hrabia, przybył do hotelu prywatny detektyw, który począł bez przerwy spacerować za hr. Margeritą, która po wyjeździe starszego męża poczęła się rozglądać swemi wspaniałemi czarnemi oczami za jakimś towarzystwem.

— W tym momencie Harry oszalał. Nie było dancingu, zabawy, spaceru na którym Amerykanin nie towarzyszyłby pięknej pani. Naturalnie płacił za nią wszystkie rachunki, tokując według wszelkich zasad i najlepszych wzorów.

— Młody człowiek robił oczywiście wszelkie możliwe i niemożliwe wysiłki, by zyskać dostęp do sypialni Margerity; nie szło to jakoś, mimo niedwuznacznych awansów i żywej sympatji jaką piękna pani okazywała Amerykaninowi.

— W końcu pewnego dnia piękna pani wyznała Harry'emu, że ona by i „owszem“, ale jej mąż utrzymuje w Aix detektywa, wobec tego trudno — „boi się“.

— Mój drogi, — powiedziała mu, — rozumiesz, że muszę dbać o moją opinię, gdyż to jest jedyny skarb jaki posiadam. Hrabia de St. Julien jest kolosalnie bogaty i, ożeniwszy się ze mną, pozostawia mi pozornie całą swobodę, ale mam powody przypuszczać, że jestem ściśle śledzona i w razie najmniejszych podejrzeń, musiałabym wracać do kosza z kwiatami, od którego zaczęłam swoją karierę. A to, rozumiesz, wcale mi się nie uśmiecha.

— Amerykanin wpadł w rozpacz i przyszedł do mnie zapytać, gdzie jest ten tajemniczy prześladowca Margerity. Naturalnie, że wskazałem mu kraciestego detektywa, sądząc, że nie popełniam niedyskrecji, gdyż i tak cały hotel nie mówił o niczem innem, jak o nieznośnym strażniku cnoty pani de St. Julien.

— Lee ucieszył się jak dziecko, którem był istotnie, i poleciał zpowrotem do Margerity, oświadczając jej, że za chwilę będą szczęśliwi, gdyż właśnie kazał swemu służącemu wyjąć z kufra siedmiostrzałowego Colt'a cal. 46, za pomocą którego zgładzić zamierza detektywa.

— Margerite wyraziła wątpliwość, czy tego rodzaju rozwiązanie sprawy nie będzie przypadkiem zbyt hałaśliwe, by mąż jej, hrabia de St. Julien, nie poczuł się



zaniepokojony i posłała go do wszystkich djabłów, by obmyślił jakąś dyskretniejszą metodę.

— Harry, zrozumiałwszy dosłownie intencję wybranej, kazał przygotować duży brezentowy worek, w którym transportował zwykle przybory sportowe, sam zaś poszedł zwabiać detektywa w zasadzkę.

Rozmowa toczyła się przy moim barze.

— Co! — spytał Harry detektywa, — fajna kobita, co? Obliczone to było na wywołanie prędszej zażyłości.

— Tak, panie, — odpowiedział detektyw, — i gdyby nie nadzieja wielkiej nagrody, chętniebym się zrzekł pilnowania tego cacka.

— Czy to tak trudno? — spytał Harry.

— Worek pcheł upilnować łatwiej, — odparł detektyw.

— To może pan nie upilnuje?! — wyrwał się Harry.

Detektyw pokiwał głową.

— Nie takie rzeczy! — co miało znaczyć, że da sobie jakoś radę.

— A gdyby pan tak zamknął jedno oko? — spytał chytrze, jak mu się zdawało, Harry.

— Nie opłaci się, — odparł detektyw.

— Jakto, nie opłaci się? Zapłacę każdą sumę, — perswadował Harry.

Detektyw znów pokręcił głową.

— Panie młody, — powiedział, — pan myśli sobie,

że hrabia de St. Julien to sobie taki stary safandula, który nie zna się na rzeczy. Ho! Ho!...

— Jak pan to rozumie? — zaniepokoił się Harry.

— Bardzo prosto. Hrabia płaci mi nie za pilnowanie, tylko za nieupilnowanie!

— Co? Nie rozumiem!

— Nietylko tego, — odparł detektyw, pijąc nowy cognac, — widzi pan, oprócz gaży ja jestem umówiony na premję.

— Jaką premję?

— Bardzo prosto! Hrabia de St. Julien wiedział, że gdyby mnie, czy kogo innego, umówił za zapłatę, jeśli wszystko będzie w porządku, to ja albo kto inny wziąłby sobie naprzód od pana, albo od kogo innego, parę tysięcy franków, a potem powiedziałby temu staremu dziadowi, że „wszystko w porządku“ i zainkasowałby jak nic premję, a może jeszcze świadectwo, że jest zdolny i inteligentny. Oh, panie młody, hr. de St. Julien to szczywany lis...

— Tak? — zadziwił się Harry, — jak on to robi?

— Bardzo prosto, — powiedział detektyw, — umówił się ze mną, że dostanę nagrodę jedynie w wypadku, jeśli uda mi się schwycić najzupełniej przekonywujące dowody przeciw pani Margericie. Pan rozumie, że w tych warunkach wszelka umowa na boczeku jest wykluczona.



— Dlaczego?

— Dlatego..., że wszelka suma za milczenie będzie jeszcze mniejsza od tego co dostanę za mówienie.

— To nie jest powiedziane! — hardo burknął Lee.

Detektyw machnął pogardliwie ręką.

— Drogi przyjacielu, hrabia określając wysokość premji działał w absolutnej pewności, że suma ta nigdy nie opuści jego konta właśnie z powodu wysokości, gdyż dla każdego detektywa jest ona zbyt wysoka, by oparł się pokusie. Hrabina naturalnie wie o wszystkim i nigdy nie zgodzi się na ryzyko.

— Ile? — spytał Harry, zacinając zęby.

— Dziesięć tysięcy dolarów, — odpowiedział detektyw, obracając się plecami.

— Masz pan dziesięć odemnie i dziesięć w imieniu hrabiego, razem dwadzieścia i jeszcze jednego dolara na taksówkę, którą pan natychmiast odjedzie na dworzec, — powiedział Harry, wręczając detektywowi czek i dolara.

— I co pan powie, — kończył Joe Pinczower, — co za pech! Tą samą taksówką, którą detektyw wyjechał na dworzec, przyjechał do hotelu hrabia Ludwik de St. Julien, któremu interesy złożyły się tak pomyślnie (ja myślę), że powrócił wcześniej, chcąc zrobić żonie niespodziankę.

— On tę sztukę robił parę razy i zawsze udawało mu się znakomicie.

— Ten Harry Lee też nie był ostatni frajer, bo jak skombinował w czem rzecz, to przyszedł do Margerity i wytłómaczył jej, że dla niej to większy interes brać od niego, Harry'ego, czeki poprostu, niż za pośrednictwem Żulina.

— Teraz to atamanowi powodzi się widocznie gorzej, bo siedzi tutaj i niebardzo wiadomo czego szuka, ale wypłynie, niema strachu.

Paweł i Amadeusz serdecznie podziękowali Joe'mu za informacje i wyszli z „Cacadu“.

— Teraz już mamy rzeczy najważniejsze, — stwierdził Amadeusz.

— Jakie? — zdziwił się Paweł.

— Taktykę przeciwnika, — odpowiedział w zamyśleniu feljtonista, — taktykę człowieka, szukającego zysków na interesach, obliczonych psychologicznie, a pozbawionych ryzyka i rozgłosu.



## XI.

### TEORJA I PRAKTYKA.

Hotel-pensjonat „Athene“ gościł, oprócz panny Mary Siwec, atamana Żulina z małżonką (inną) i jeszcze siedemdziesiąt parę osób płci obojga. Paweł i Amadeusz, rozejrzawszy się w terenie, postanowili ulokować się też w „Athene“, by być jaknajbliżej obiektu swej obserwacji.

Pod względem topograficznego rozkładu, przyjaciele nasi ulokowali się na tem samem piętrze co panna Mary w dwóch pokojach na końcu korytarza, przedzielonych wspólną łazienką. Żulin, występujący tam pod nazwiskiem Afanasieff, ziemianin czy też wyższy urzędnik dawnego regimu, rezydował na parterze.

Bez wątpienia, że gdyby hr. Mestwin przyjechał bez żadnej ukrytej misji do „Athene“, sprawa zbliżenia się do córki kanclerza byłaby prosta. Panna była miła, wesola, swobodna i nie ulega wątpliwości, że towarzyskie walory Pawła więcej niż łatwo utworowałyby szlak do

wzajemnego porozumienia. Jednak w tych warunkach szło to coşkolwiek opornie.

Trzeba się jednak było decydować, gdyż państwo Afanasieff'owie rozłoczyli nad młodą osobą swoją opiekę, skutki której mogły być tylko ujemne.

Stało się to bardzo prosto, Afanasieff'owie byli ludźmi wesolymi i wyrozumiałymi, czuli się jednak w obowiązku przestrzec młodą osobę, podróżującą pierwszy raz bez opieki zagranicą, o szeregu niebezpieczeństw, jakie na nią czekały.

Pani Afanasieff, osoba bardzo praktyczna, kłóciła się za Mary w sprawie rachunków, złego pokoju, niedostatecznej usługi i wszystkich tych spraw, które zawsze w życiu pensjonatowem zdarzyć się mogą.

Chodziły razem na spacer, czyniły zakupy, odnajdywały najtańsze źródła pięknych pamiątek, i t. d. Stary Afanasieff nie towarzyszył żonie w eskapadach, a tylko witał powracające panie dobrym uśmiejchem i jowialnym zapytaniem.

— A cóż to n a s z e panie dziś zwojowały? Kameę? Bardzo piękna... Bardzo piękna... Co? dwadzieşcia franków, nieprawdopodobnie tanio. Musicie mnie kiedyś zabrać z sobą... A ja tu sobie siedziałem i kładłem pasjansy.

Jednem słowem sielanka na 250%.

W jadalni państwo Afanasieff zajmowali osobny



stolik razem z Siwcówną. Młoda osoba była więc tak odseparowana od reszty towarzystwa, że wielu gości brało pannę Mary poprostu za córkę dobrodusznych emigrantów.

W tych warunkach dopiero na trzeci dzień udało się obu przyjaciółom uczynić jaki — taki wyłom w fortocy.

Było to na plaży.

Amadeusz kupił gumowy pływak w kształcie delfina i ulokowawszy się z Pawłem za koszem Afanasieff'ych zaczął nadymać potwora, dął, dął, aż nareszcie udało mu się wywołać eksplozję.

PAM!!!... delfin zmiął się w poszarpaną szmatkę.

W koszu powstał alarm. Panie podniosły żaloszny krzyk, wobec czego obaj gentlemeni udali się złożyć kondolencję, poszło to tem łatwiej, że znano się przelotnie z salonu „Athene“. Po przełamaniu pierwszych lodów, Amadeusz począł czarować panią Afanasieff, Paweł zaś nawiązał konwersację z Mary... Sprawy szły dobrze, po południu grali już razem w tenisa... wieczorem zaś obaj przyjaciele mogli już zestawić plan wzajemnych obserwacji.

— Ona jest ładna i zupełnie nieglupia, — powiedział Paweł.

— Wiem już co robi Żulin! — ogłosił Amadeusz.

— Z tem wszystkim, jak mniemam, jest dość niewyrobiona i bezradna życiowo, — ciągnął dalej Paweł.

— Z tem i ja się zgodzę, — odparł Amadeusz, — gdyż widocznie dlatego Żulin-Afanasieff wyręcza ją nawet w tak prostych zajęciach, jak odbieranie poczty ze skrzynki.

— Czy myślisz, że to jest coś podejrzanego? — ożywił się Paweł.

— Narazie nic nie wiem, przypuszczać należy, że tak. Staraj się dowiedzieć od Mary jakiego rodzaju jest jej korespondencja.

— Dobrze.

Przyjaciele pożegnali się, gdyż silna operacja słowneczna, której musieli, stosownie do warunków akcji, poddawać swoje naskórki dała się im we znaki, osłabiając i ciągnąc z nieposkromioną siłą do poduszki.

Następnego dnia Pawłowi udało się upilnować Mary w chwili, gdy otrzymała z rąk Żulina pocztę i ukończywszy listy wzięła się do przeglądania jakiegoś miesięcznika.

— Widzę, że pani utrzymuje, mimo kuracji, ożywiony kontakt z krajem? — spytał książę.

Mary spojrzała na niego pytająco.

— No tak, widzę sporo gazet i listów, — dodał.

Mary uśmiechnęła się:

— Widzi pan, pytanie, które mi pan zadaje, było oczekiwane.

— Jakto? — spytał Paweł.



— Bardzo prosto, pan Afanasieff powiedział mi dziś, że Wasza Wysokość jest moim rodakiem, a więc mogłam przypuszczać, że... że prędzej, czy później rozmowa zejdzie na rodzime tematy.

Paweł stropił się nie na żarty.

— Bardzo byłoby mi przykro, gdyby pani przypuszczała, że miałem jakiś cel ukryty w chronieniu mego incognito, ale przypuszczałem, że to właśnie będzie lepiej, jeśli brać mnie pani będzie za pierwszego lepszego miłośnika piasku.

— Ale dobrze, już dobrze... — usiłowała przerwać.

— Nie, nie jest tak dobrze, jak pani twierdzi, — ciągnął dalej Mściwoj XII, — ze sposobu pani rozmowy mam wrażenie, że skwapliwość, z jaką pan Afanasieff usiłował panią uświadomić co do mojej osoby, uzupełniona została szeregiem informacji, których mi pani nie powtarza.

— Istotnie.

— Wobec tego, — powiedział Paweł, przyczem głos jego zadrżał dramatycznie, — nie pozostaje mi nic innego, jak przypuszczać, że informacje udzielone pani są tego rodzaju, że nie mam tu nic więcej do roboty. Żegnaj panią, odchodzę...

I Paweł stanął przed Mary w pozie wysoce bezradnej.

Panna roześmiała się.

— Ależ, co też pan opowiada! Pan Afanasieff zwrócił mi tylko uwagę, bym była do pewnego stopnia ostrożna, gdyż wobec tego czem pan jest naprawdę, mogą mi się zdarzyć jakieś niedyskrecje, niemiłe w skutkach dla mojego ojca.

— Tylko to?

— Tylko to i...

— Jakie „i“?

— To już muszę panu powiedzieć wszystko. I jeszcze mówił mi, żebym się miała na baczności w stosunku do pana Mugué, który jest człowiekiem naprawdę niebezpiecznym. Czy go pan zna bliżej? Bo pan Mikołaj jest człowiekiem bardzo doświadczonym i kilkakrotnie już sprawdziłam, że jeżeli mię ostrzegął przed czemś zawsze miał rację.

Paweł uspokoił pannę Mary, że jest absolutnie pewny przyjaźni Amadeusza, przyczem, co mu dość trudno przeszło przez gardło, powiedział, że ze swej strony posiada pewne informacje, stawiające w złym świetle dobrodusznych opiekunów samotnie podróżującej pannenki. Chcąc załagodzić brzmienie tego zwrotu, Paweł dodał:

— Ja osobiście wątpię by to było możliwe, gdyż nie jest pani specjalnie bogatą, by chciał wyludzać jakąś gotówkę. Z drugiej zaś strony nie przypuszczam, by posiadała pani w swej walizce tajemnice państwowe,



cena których mogłaby mieć wagę dla tego typu człowieka, jakim jest Afanasieff.

Mary zastanowiła się chwilę.

— Widzi pan, — powiedziała, — to nie jest takie proste. Może ja źle robię, że panu to opowiadam, ale trudno... Ojciec mój jest właściwie wielkiem dzieckiem. Kiedyś za swej młodości upajał się ruchem organizacyjnym, stwarzał stronnictwa, łamał przeciwników, walczył... zwyciężał...

— Dziś to już właściwie starzec, który poszukuje jedynie okazji, by przemawiać pełnym głosem do większego zgromadzenia. Jeśli jeszcze do tego wszystkiego na mównicy jest zainteresowany megafon i staruszek słyszy swe słowa, spotęgowane przez amplifikatory, nie posiada się z radości... Odnajduje w takich chwilach siebie dawnego, swoją młodość i siłę. Koleje wypadków wkładają mu ciągle na barki obowiązki kanclerskie, na które przypuszczalnie poprostu już dziś sił nie posiada. Z tem wszystkim, mój ojciec jest niesłychanie podejrzliwy i jedyną osobą przed którą się lubi i umie wygadać jestem ja.

— Może źle zrobiłam, że opuściłam go właśnie teraz, gdy ma tyle na głowie... Ojciec mój, będąc pozbawiony mego towarzystwa, prawie codziennie pisuje do mnie listy, zawierające jego poglądy na poszczególnych polityków, działających z nim lub przeciw niemu, a na-

wet okresowe zamiary na bliższą lub dalszą przyszłość. Przypuszczam, że listy te mogłyby mieć dla kogoś, zajmującego się polityką, znaczną wartość...

— Otóż, proszę pani, narazie trudno mi powiedzieć, czy to jest punkt ciężkości zainteresowań p. Afanasieff'a, ale trzeba to będzie sprawdzić. Jedno tymczasem pani powiem, że pan Afanasieff nie jest tym, za kogo się podaje, a wogóle nazywa się zupełnie inaczej.

— Czyż to możliwe?

— Ależ tak.

— A jego żona?

— Nie jest jego żoną, a współpracowniczką, zaangażowaną, bardzo możliwe zresztą, że bez wtajemniczenia w szczegóły. Tymczasem jednak dowiedzenia, przypuszczam, że lepiej będzie, jeśli pani zastanowi się sama nad tem wszystkim.

— Eh, nie, — roześmiała się Mary, — teraz, jak pan nawarzył piwa i zburzył spokój mego wypoczynku, to musi pan mi poradzić, jak mam się dalej zachowywać.

Paweł pierwszy raz w życiu stanął wobec tak skomplikowanej rozgrywki. Jedyna więc rada, na jaką mógł się zdobyć, brzmiała, by Mary narazie nie zmieniała swego postępowania i czekała na rozwój wypadków. A tymczasem on zastanowi się, lub jeszcze lepiej naradzi z Amadeuszem.

Amadeusz powiadomiony o przebiegu rozmowy, szalał.



— Nie mówię ci, że jesteś durniem, bo byś się na mnie obraził, ludzie mają zwykle o sobie wygórowane mniemanie pod względem inteligencji, ale muszę ci zakomunikować, że nie przypuszczam by nasza dalsza bytność w tej dziurze dała jakie dalsze wyniki, to przechodzi wszelkie wyobrażenie poprostu!... Zobaczył pannę i z rycerskim ukłonem wygadał się ze wszystkiego co wiedział... gratuluje!...

— Dlaczego?

— Zobaczysz, a już dziś mogę ci powiedzieć, że z twojego tronu nici.

— Spokojnie, — powiedział Mściwoj XII, — widzę, widzę, że w moim przyjacielu gra dobra południowa krew. Ale muszę ci powiedzieć, że są rzeczy, które się rozgrywa nietylko chytrą i w których szczerą jest właśnie najlepszą taktyką.

— Wydadz to sobie w tomie pod tytułem „Złote Myśli“, a tymczasem proponuję byśmy na dzisiejszy wieczór pojechali do „Cacadu“, bo przypuszczam, że „siedem na siedem“ dobrze zrobi i mnie i tobie.

Ostatnie zdanie Amadeusza utwierdza nas w mniemaniu, że był on nietylko genialnym feljetonistą, ale i doskonałym dyplomata, gdyż wielu wybrałoby raczej długą i jałową dyskusję na temat „Kto ma rację“, zamiast przezornie utopić, rodzącą się na horyzoncie, w szklance wina.



XII.

SZPILKA.

W czasie, gdy Paweł i Amadeusz mieszać będą siedem smakowitych płynów w kryształowych kieliszkach, zajmijmy się na chwilę losami dobrego kraju Platanji, który pozostawiliśmy na tak długo własnym losom i prawidłowemu funkcjonowaniu precyzyjnej maszyni we wnętrzu auto-prezydenta Platanusa.

„Działo się tam dobrze, tylko niezupełnie“, jak mówił jeden z moich przyjaciół, a niezupełność polegała na tem, że rząd kanclerza Siwca trzymał się od pewnego czasu „na włosku“, gdyż większość w parlamencie, na której się dotychczas opierał, uległa stopniowemu rozkruszeniu i lada silniejszy wstrząs mógł wywołać „votum“ nieufności.

Paradoksalność sytuacji potęgowało jeszcze to, że i opozycja nie czuła się na siłach do zebrania potrzebnej ilości głosów dla zbudowania nowej większości. Siły podzieliły się równomiernie, przyczem, jak to się często



zdarza w parlamentach świata, rolę jęczyzka u wagi, tego miligrama, który może w każdej chwili przeważać którąś z szal, przypadła najmniejszemu klubowi poselskiemu. Klubem tym był klub żydów ortodoksów, liczący siedmiu czy dziesięciu członków.

Nic dziwnego, że w tych warunkach wszystkie czynności polityczne w państwie przyjęły ortodoksów, jako punkt centralny swych manewrów. Opozycja obiecywała im złote góry, czynniki, związane z gabinetem kanclerza, licytowały opozycję. Opozycja torpedowała kanclerskie obietniki, a kanclerz dezawuował szczerłość ofert opozycji.

Utworzono etat specjalnego urzędnika do zleceń, którego zadaniem było rozpatrywać w trybie przyśpieszonym interpelacje klubu. Ministerstwa, Prefektury, Izby skarbowe, komisje poborowe, — wszyscy na wyrywki starali się sprostac i dogodzić ich najwyszukanyszim żądaniom... Ortodoksi czuli się naturalnie doskonale w tej atmosferze i, spowici w atlasowe chałaty, kroczyli na posiedzenia Izby, pełni powagi i dostojeństwa, powtarzając w gęstwinie swych bród wpół doszalne „Cy...cy“.

Wszystko byłoby więc dobrze, gdyby nie pewna organiczna, jeśli tak rzecz można, wada, którą mają pobożni żydzi. Jest nią sobota. W dzień ten choćby moabici szturmowali mury miast, lub armaty strzelały pro-

sto w szyby wystawowe sklepów, nikt nie widział szanującego się chasyda poza jeszybotem, w drodze doń, lub powrotnej.

W sobotę więc każdą ośmiu posłów klubu, sprawującego de facto władzę w republice platańskiej, przestało myśleć o popieraniu rządu kanclerza Siwca, a zagłębiało się w skomplikowane zagadnienia matematyki sefirotycznej, dzięki czemu matematyka parlamentarna wyrażała na koncju kanclerza „manco“ 8-miu głosów. I mimo to, że w parlamencie trudno jest zorjentować się ściśle w dokładnej liczbie posłów obecnych na sali posiedzeń, opozycja rychło połapała się w tej cotygodniowej słabości agrarjuszy i kilkakrotnie już próbowała zaskakiwać rząd drobnymi, ale dokuczliwymi uchwałami.

Stronnictwo rządowe odpowiedziało na tę taktykę uniemożliwieniem posiedzeń sobotnich przez deklamację, śpiew i tym podobną choreografię.

Niestety, nie mogło to trwać wiecznie i było więcej niż prawdopodobne, że prędzej, czy później prezydent Izby, nastrojony opozycyjnie, znajdzie chwilę do uniemożliwienia prorządowej opozycji stosowania obstrukcji.

Sytuacja zagęszczała się stopniowo w miarę dobiegania sesji budżetowej. Dzień zamknięcia sesji, trzydziestego pierwszego marca, wypadł akurat w fatalną



sobotę. Kanclerz Siwiec liczył więc, że w dniu tym przypuszczony zostanie decydujący atak na jego gabinet.

Postępowanie stronnictw opozycyjnych wskazywało wyraźnie na istnienie takiego planu, gdyż mimo ukończenia około 23-go właściwych prac nad budżetem uniemożliwiano szeregiem wniosków formalnych, poczem trzecie czytanie i głosowanie ostateczne przesunięto na dzień trzydziestego pierwszego — na fatalną sobotę.

Ortodoksi, zainterpelowani, czy jednak, ze względu na powagę chwili, nie mogliby zrobić jednego jedynego wyjątku i wziąć w dniu tym udział w posiedzeniu, odpowiedzieli, że, niestety, nie...

Było niedobrze...

Siwiec ujrzał tedy po raz pierwszy kres swoich rządów. Można było wprawdzie rozwiązać Izbę i rozpisć nowe wybory, jednak stronnictwo agrarjuszy nie mogło iść do wyborów w okresie letnim, gdy wszyscy są zajęci w polu, wobec czego sytuacja wydawała się naprawdę beznadziejna.

Jakże brak było Siwcowi w tym momencie córki, której mógłby się jeśli nie poradzić, to przynajmniej uskarżyć ze swemi niedolami.

Pisał więc, pisał wszystko, co czuł, widział i przewidywał...

Tymczasem terminy biegly.

We wtorek zwołano radę ministrów...

Porządek dzienny zawierał tylko jeden punkt, a mianowicie: jak się zachować wobec spodziewanego wniosku nieufności?

W wielkiej sali, ozdobionej popiersiami cnót antycznych, przy stole, ustawionym w podkowę, zasiedli w ciężkich, ołowianych nastrojach ministrowie. Ktoś próbował żartować... ktoś wzruszał ramionami.

Posiedzenie otworzył kanclerz, skierowawszy ku zebranym pytanie: „Czy nie widzą jakiegoś wyjścia z sytuacji?“

Odpowiedzi padały kolejno:

Minister spraw wewnętrznych...

zagranicznych,

przemysłu,

handlu,

oświaty,

skarbu,

..... (według listy).

Wszyscy ci panowie zgłaszali, że nie widzą żadnego sposobu na zażegnanie kryzysu i, opuściwszy głowy, zaczęli coś śpiesznie notować na wielkich i białych arkuszach papieru... Wreszcie ostatni zabrał głos minister sprawiedliwości.

— Panowie, — powiedział minister, — muszę



stwierdzić jedną, jedyną rzecz, — że panowie na pewno nie studjują jednej bardzo, a bardzo pouczającej książki...

— Jakiej? — spytał minister oświaty ministra robót publicznych, zaniepokojony tajemniczym tonem ministra sprawiedliwości.

— Najzwyczajszego kalendarza, — dokończył minister sprawiedliwości, uśmiechając się na widok powszechnego zdziwienia.

— Co! Kalendarza?

— Dlaczego kalendarza?

— Ha! ha! ha! Doskonale, przy czem tu i kalendarz...

— Tak, kalendarz, — powtórzył z całą powagą minister sprawiedliwości. — Rok bieżący jest rokiem przestępnym...

— Doskonale, ale co to ma do zamknięcia sesji i wniosku nieufności, — spytał któryś z ministrów gospodarczych, zgubiwszy się widocznie w skomplikowanym sposobie myślenia swego kolegi.

— Co?! zaraz panom wyjaśnię. Prawodawca, przewidując na debatę budżetową w parlamencie okrągłe pięć miesięcy, miał na myśli pewien okres czasu, okres czasu wynoszący równo 153 dni. Tak przynajmniej przedstawia się sprawa w roku zwykłym. W roku bieżącym luty miał o jeden dzień więcej. Jeśliby więc obrady sesji budżetowej trwały do trzydziestego pierw-

szego marca, wyniosłoby to 154, czyli o jeden dzień za dużo! Pytam się panów, czy prawodawca, wydzielając konstytucyjnie taką czy inną ilość dni, myślał o konkretnych datach, czy też o pewnym czasokresie, przeznaczonym na konkretną pracę budżetową?

— Racja! — przyznali ministrowie.

— Ducha prawa należy się trzymać, a nie ślepej ich litery!

Postanowienie zapadło jednomyślnie. Rząd republiki zadecydował zamknąć sesję w piątek... Fatalna sobota została szczęśliwie ominięta.

Po chwili sznur cicho szumiących potężnymi motorami samochodów rozwiózł do domów ministrów uspokojonych o los swój i rzeczypospolitej, a kanclerz Siwec zabrał się do wykonania tak szczęśliwie powziętych uchwał.

Dekret, zamykający Izbę, musiał być, po uzyskaniu na nim podpisu Platanusa, przesłany przewodniczącemu Izby jak najprędzej, by mógł przesunąć na czas zapowiedziane posiedzenie z soboty na piątek. Niezwłocznie więc, po posiedzeniu rady, kanclerz udał się na zamek.

Jadąc rozmyślał Siwec nad tem, jaka to jednak była wygoda z automatycznym prezydentem. Dawniej trzeba było telefonować, sprawdzać, prosić o audjencję, troszczyć się i uzasadniać spóźnioną godzinę. Dziś te wszystkie względy odpadły.



Wystarczyło krótko uprzedzić szefa kancelarii, by utworzył gabinet i sprawy toczyły się bez komplikacji.

Szef kancelarii cywilnej spotkał kanclerza w poczekalni. Idąc w stronę gabinetu, kanclerz wtajemniczył szefa w treść prawno-państwowego aktu.

— Czy nie przypuszcza pan jakichś trudności? — spytał prawie we drzwiach.

— Chyba żadnych, — odparł szef, — wątpię bardzo, by Mściwoj XI, konstruuując maszynę zegarowo-kalendarzową, przewidział lata przestępne i takie inne szczegóły.

— A więc chodźmy!

W głębi gabinetu, którego wnętrze znamy już z pierwszej konferencji z ostatnim żywym prezydentem, prof. Tangensem, siedział przy biurku Platanus. Mimo, że była to tylko maszyna skonstruowana przez geniusz człowieka, sam fakt zawarcia w jej trybach i cewkach magnetycznych najważniejszych impulsów, regulujących tok życia wielkiego państwa, wytwarzał w tym pokoju atmosferę dziwnego, niemal nabożnego, skupienia.

Obaj dostojnicy znizyli głos i przybrali urzędowe pozy, tak jakby się zbliżali do żywego człowieka.

Platanus siedział nieruchomo, nieczuły, ślepy...

Szef gabinetu uruchomił dźwignię, powodującą podpisujące ruchy ręki. Platanus drgnął i pochylił się lekko

nad biurkiem. W tej chwili, wewnątrz jego głowy, począł działać mikrofon, przed którym szef gabinetu rozpoczął odczytywać tekst.

„Stosownie do Konstytucji zamykam sesję budżetową parlamentu z dniem trzydziestego marca. Kanclerz Państwa Siwiec. Prezydent“.

W tym momencie szef gabinetu nacisnął jeszcze raz kontakt podpisujący...

Platanus pochylił się jeszcze bardziej, podniósł pióro, umieszczone uprzednio w rękę i skierowawszy je ku pierowi zatrzymał się wpół odległości od tekstu.

— A mówiłem, że nie podpisze! — zawołał Siwiec.

— Zaraz, zaraz, — uspakajał go szef kancelarii cywilnej, — już zdarzało się czasem, że coś się zaciągało. Zacznijmy od początku...

Posłano prędko po maszynistkę, która przepisała tekst dekretu, poczem szef kancelarii ponownie odczytał jego treść do mikrofonu, wyraźnie skandując każdą literę.

*Żżżżżżżżż*... zagrały cichutko tryby mechanizmu i ręka podpisująca opadła bezwładnie.

— A niech cię! — zaklął Siwiec, nie zważając na powagę miejsca, — pan minister sprawiedliwości ma zawsze genialne pomysły, tylko nie myśli nigdy nad sposobem ich wykonania. Co teraz zrobimy?



Szef kancelarji zastanowił się chwilę.

— Nie przypuszczam, by wszystko było stracone. Komplikacja leży może gdzieś w trybach powierzchniowych, spróbujemy to poruszyć.

— Czy można? — nieufnie spytał Siwec.

— Można — nie można, — dobrodusznie odpowiedział szef kancelarji i rozpoczął odpinać kamizelkę i gors Platanusa. — O, tu jest kalendarz zegarowy. Dzięki Bogu, że nie jest zamknięty na klucz, jak rejestry. Zaraz odkręcę muterkę wieczka i zobaczymy, czy tam się coś nie zacięło. Może pan będzie tak uprzejmy i poświęci mi bliżej, bo nie widzę.

Motorek o sile 1 i  $\frac{1}{4}$  H. P. pracował bezustannie.

Nagle szef kancelarji cywilnej zawołał radośnie:

— Mam, niech pan patrzy, tam w środku. Widzi pan tę sprężynkę? to właśnie tu zatrzymał się trybik. Nie ma pan przy sobie czegoś cienkiego?

Kanclerz z pewnem zażenowaniem wydobyl z wnętrza swej garderoby dużą agraftkę.

— Wystarczy? — spytał.

— Dobra, — zawołał szef kancelarji i wsunął do wnętrza mechanizmu śpiczaste ostrze szpilki.

— I d z i e! — zawołał.

Rzeczywiście Platanus, wolniej może niż zwykle, wykonał podpis na dokumencie.

— Patrz pan, co on robi! — zawołał nagle kanclerz, chwytając szefa za ramię.

Istotnie było to coś nadzwyczajnego... Platanus ukończywszy podpis, powrócił znów do pozycji wyjściowej. Podpisał jeszcze raz, ciągnąc piórem po śladach pierwszego podpisu, potem jeszcze i jeszcze...

Kanclerz, korzystając z chwili oderwania pióra, wyrwał pożądaną papier z pod ręki automatu.

— Wyłącz pan kontakt! — zawołał do szefa kancelarji.

Szef kancelacji szarpnął sznur, ręka Platanusa opadła.

— Oj, — wyszeptał kanclerz, — czyśmy aby czegoś nie przefajnowali w tym interesie.

— Nie przypuszczam, — odparł szef, zaraz zawołał mechanika, który powinien uskutecznić naprawę.

— Czy pan jest pewny jego dyskrecji? — spytał kanclerz.

— Najzupełniej! Zresztą jestem pewny, że to jakies głupstwo, które da się naprawić bez zachodu.

Kanclerz wyszedł, unosząc drogocenny dokument i polecivszy szefowi kancelarji zatelefonować niezwłocznie, jak tylko mechanik naprawi maszynę.

Mijały godziny za godzinami, a wiadomość z zamku nie przychodziła. Wreszcie, już gdzieś po północy, rozległ się upragniony dzwonek.



Niestety!

Szef kancelarii cywilnej meldował głosem zmienionym ze wzruszenia, że mechanik nie umie zreperować konstrukcji. Platanus był zepsuty, zepsuty definitywnie i poza funkcją podpisywania, którą wykonywał po dawnemu, nie nadawał się już do żadnej innej.

Kanclerz apatycznym ruchem powiesił słuchawkę...

W chwili tej dobry król Mściwoj XI musiał się obrócić na lewy bok w swej mogile i powiedzieć do lwów, strzegących marmurowego sarkofagu:

„A nie mówiłem, że go w końcu zmajsztrują moi kochani, niezrównani Platanówczyści“.

### XIII.

#### LISTY.

Nie było to ani za późno, ani za wcześnie, ale w sam raz godzina trzecia rano, gdy Amadeusz z hrabią Pawłem Mestwinem opuszczali gościnne podwoje Joe Pinzowera.

— Ostrożnie z ogniem, — zawołał Amadeusz do jakiegoś przechodnia, który, będąc również pod dobrą datą, zbliżył zapaloną zapalną w czasie zapalania papierosa do jego oblicza, — ostrożnie z ogniem, obywatelu! Czy nie widzicie, że najmniejsza nieostrożność może spowodować eksplozję?

Mimo tej tak niewinnej uwagi przechodzień obruszył się.

— Co ostrożnie, — spytał, robiąc krok w kierunku Amadeusza, — czy ulica jest za wąska?

— Nie, — odparł Amadeusz, — ulica jest dość szeroka, ale obawiam się, że nasz światopogląd jest za wąski, jak na wiek dwudziesty.



— Co pan rozumie przez to porównanie? — powiedział przechodzień, biorąc dla równowagi Amadeusza za połę palta.

W tym momencie hr. Mestwin widząc, że się święci coś niedobrego, zawołał:

— Amadeuszu, chodź prędko, daj pokój temu pijakowi!

— Jak mnie nazwał pański przyjaciel! — krzyknął przechodzień, wtlaczając genjalnemu feljetoniście kapelusza na oczy...

Amadeusz szarpnął się... odskoczył i dał napastnikowi solidne uderzenie w szczękę od dołu. W tej chwili z drugiej strony ulicy, zaciemnionej od światła latarni gęstem listowiem drzew, odezwał się przeraźliwy krzyk kobiecy.

— N a r a t u n e k! Bandyki!!! policja!!! n a r a t u n e k!!!

W dali rozległy się gwizdki...

Dalszego ciągu zajścia hr. Mestwin nie zdążył już zobaczyć, gdyż w chwili, gdy biegł na pomoc Amadeuszowi, jakieś dwie sylwetki chwyciły go nagle z tyłu i mimo gwałtownego oporu wciągnęły zpowrotem do ciemnego już przedsionka „Cacadu“.

Z przedsionka zanesiono Mestwina do szatni i tu dopiero zorjentował się, że tajemniczymi napastnikami byli Joe i Burton.

— Czy oszaleliście? Proszę natychmiast powiedzieć, co to znaczy? — spytał, sapiąc, hr. Mestwin.

— Proszę Jego Wysokości, — odpowiedział Joe, pocierając sobie oko, widocznie nadwyrężone przy szamotaniu, — to było wszystko ułożone. Oni czekali od północy na wyjście Jego Wysokości, tylko portjer się zgapił i powiedział dopiero, jak panowie już byli na ulicy. Jego Wysokość rozumie, że ten pijak, ta kobieta i to wszystko wogóle było przygotowane przez kogoś.

— Burton, — zwrócił się do barmana, — biegnij pan i zobacz co się stało z jego wysokością panem Mugué.

Po chwili Burton wrócił z wiadomością, że całe towarzystwo zostało odprowadzone przez policjantów w stronę komisariatu, zaś agenci przeszukują aleję, gdyż główny sprawca miał się gdzieś zawieruszyć.

— Dobrze, to oni zrobili, — stwierdził Joe, w dalszym ciągu pocierając oko, — w każdym razie Wasza Wysokość musi zaraz jechać do domu, a my już zajmujemy się tutaj uwolnieniem pana Amadeusza.

I nie wdając się w dalsze dyskusje, dzielny właściciel baru „Cacadu“ przeprowadził Mściwoja XII przez wewnętrzne ubikacje zakładu, potem przez podwórko, zapchane wozami, kłatkami z drobiem i innymi złowonnymi przedmiotami, aż do bramki, przed którą oczekiwał samochód.

— To dla gości, którzy, jak to czasem się zdarza, nie



mogą wyjść głównym wejściem. Bo to albo mąż, albo ktoś, albo jakieś inne rzeczy... — wyjaśniał, sadzając hr. Mestwina do samochodu.

— Dziękuję ci, Joe, — powiedział Paweł, — zawsze cię lubiłem, ale nigdy nie przypuszczałem, że mi oddasz taką przysługę.

Dopiero w jakieś dwie godziny po powrocie do „Athene“ hr. Mestwina powrócił nieszczęsny Amadeusz. Mimo to, że Paweł spał już smacznie, Amadeusz wpakował się do jego pokoju, by mu oświadczyć, że po pierwsze uważa, iż się stało bardzo dobrze, że Joe wycofał na czas Jego Pretendencką Mość z afery, a po drugie, że Żulinowi, który jest na pewno sprawcą tej awantury, zapłaci za wszystko z nawiązką

— I cóż ty o tem sądzisz? — mężnie gniotąc niedopałek papierosa, perorował Amadeusz. — Cóż ty o tem myślisz?... powiedzże nareszcie cośkolwiek?

— Dobranoc, — wymamrotał książę-pretendent, obracając się pojednawczo do przyjaciela a twarzą do ściany. — Dobranoc, kochany...

Amadeusz wyszedł, mrużąc brzydkie słowa, ale po chwili, zagłębiwszy się w pościeli też zasnął, jak tego wymagała od jego ludzkiej natury pora dnia, uwidocz niona na wielkiej tarczy zegara w pawilonie tańców kasy w Juan les Pins...

Dzień następny rozpoczął się o godzinie 12.10, kiedy

hr. Paweł, przeszedłszy przez łazienkę, dzielącą jego pokój od pokoju przyjaciela, rozpoczął wykrzykiwać na całe gardło:

— Wstawaj, przekleństwem naznaczony!...

— Czego? — spytał Amadeusz, siadając z szeroko otwartymi oczyma na łóżku.

— Raczej kogo, — odpowiedział Paweł.

— Nie rozumiem, — Amadeusz rozpoczął energicznie przecierać oczy.

— Bardzo proste, mnie a nie ciebie.

— Ciebie? Dobrze, ale co?

— No dosyć już, powiem ci wszystko, — powiedział hr. Mestwin, — okradziono mnie dzisiejszej nocy.

— Niemożliwe! — zawołał Amadeusz.

— Tak, tak, — kończył Paweł, — zresztą zabrano mi rzecz prawie że zupełnie bezwartościową, bo tylko pudełko z setką biletów wizytowych.

— Oh, la... la...! — zawołał Amadeusz i jednym skokiem wpadł do łazienki, gdzie, znalazłszy się pod zimnym prysznicem, rozpoczął przemowę:

— Brrrrr, a ja myślałem wczoraj, że to chodzi, brrrrr, o skompromitowanie ciebie i mnie.. Brrr... aaaa... zimna ale dobra... a tu szło tylko o brrr, prrrrrryg, phu... o danie czasu na szperanie w twoich papierach. Pffuuu... już dobrze... zresztą. Bardzo możliwe, że chciano przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie... dawaj ręcznik...



ciekawe tylko, gdzie teraz będą udawać jego królewską wysokość i kto będzie pił na jego rachunek. Słuchaj, czy sprawdzałeś, czy nie brak ci jakichś dokumentów osobistych?

Paweł sprawdził jeszcze raz stan rzeczy na biurku. Nie, dokumenty miał wszystkie w porządku, brakowało jedynie małej karteczki, którą przygotował do wysłania poprzedniego wieczoru.

— Co to znaczy? — spytał Amadeusza.

— Próbką pisma, — odparł zapytany, — a teraz ubieraj się prędko, bo będziemy mieli masę do roboty. Obawiam się, że dzień dzisiejszy nie będzie pozbawiony sensacji. Plan działania jak wczoraj, — rozkazywał, — ja chodzę koło Żulina, ty gawędzisz dalej z panną Mary.

— A o kradzieży? — spytał Paweł, gdy już schodzili nadół.

— Przypuszczam, że najlepiej tymczasem nic nie mówić. Dowidzenia, zobaczymy się przy śniadaniu, — zdecydował Amadeusz, który w przeciwieństwie do dnia wczorajszego promieniował dzisiaj energią. — O patrz, panna Mary jest na tarasie...

Córka kanclerza przywitała Mściwoja z miną tajemniczą...

— Chodźmy stąd prędko, mam panu powiedzieć coś ciekawego.

— Cóż takiego się stało znowu? — spytał zaciekawiony hr. Mestwin.

— Chodźmy stąd prędko gdziekolwiek. Najlepiej tu w kąciuku. Zaraz wszystko panu opowiem... Widzi pan, — rozpoczęła, — po tem wszystkiem, co pan mi opowiedział wczoraj przez cały wieczór sprawdzałam pocztę jaką otrzymuję od ojca i doszłam do przekonania, że była otwierana. Niech pan patrzy, — i Mary wydobyla jedną z kopert, na której widać było proces otwierania i zaklejania.

— Z czego to pani wnosi? — spytał hr. Mestwin, nie orjentujący się w tak subtelnym rzeczach.

— Z tego, — pokazała odblask pieczętki w miejscu gdzie się schodzą zaklejane brzegi, — list dostaje stempelem w chwili, gdy klej jest dobrze zaschnięty, niema więc mowy, by brzegi mogły się rozsunąć, aż tak, by pokazał się odstęp pomiędzy kreskami. Teraz już ja jestem pewna, o co chodzi. Napisałam nawet ojcu, by był na przyszłość ostrożniejszy w opisywaniu swoich zmartwień.

— Widzi pani, — triumfalnie stwierdził Paweł, gdy dalszą rozmowę przerwał im dziwny cokolwiek widok...

Po szerokich schodach, biegnących z tarasu na plażę zbiegł szybko Afanasieff, a za nim podążała jego magnifika. Gdy znaleźli się na dole, Afanasieff, okazujący niezwykle zdenerwowanie, zwrócił się do „żony“, coś jej



szepcząc na ucho, poczem oboje, w tempie jakby się spieszyli na pociąg, pobiegli w kierunku mola.

— Cóż to ma znaczyć? — spytał.

— Nic nie rozumiem, — powiedziała Mary.

W tym samym momencie z lewego skrzydła pensjonatu rozległy się krzyki:

— Trzymajcie go! Trzymajcie!!! — i po chwili na tarasie ukazał się nie kto inny, tylko sam pan Amadeusz Mugué we własnej osobie.

Kuracjusze, zerwawszy się z foteli i leżaków, otoczyli genialnego feljetonistę.

— Gdzie on jest?

— K t o?

— Afanasieff... Żulin... Ten p i e s!... — wykrzykiwał Amadeusz.

Hr. Mestwin, który zdołał się precyzyjnie do przyjaciela, powiedział mu, że właśnie przed chwilą *monsieur* i *madame* Afanasieff pobiegli w kierunku mola.

— Gońmy ich! — zawołał Amadeusz i runął na czele zdezorientowanych kuracjuszy szerokimi schodami na plażę i dalej w kierunku mola.

Sienkiewicz, opisując taką chwilę użyłby zapewne wszystkich tęczyowych barw swej bogatej palety: „Jak lawina, ruszyli z wyżyny tarasu mężowie, kobiety i dzieci, a pośród tej ciżby, jak dobry gospodarz, dający przykład czeladzi, parł naprzód Amadeusz“.

„W miarę przebywania przestrzeni niesforny tłum przekształcił się rychło w prawidłowy klin, który roztrącając kosze rodzinne i babki z piasku, ustawione rączkami niewinnych dzieci, w niepowstrzymanym pędzie sunął w kierunku mola“.

Jeszcze pięćdziesiąt metrów...

Jeszcze dwadzieścia...

Amadeusz wpadł na stopnie pomostu i przesadziwszy jednym susem poręcz znalazł się na przystani motorówek.

— Czy nie było tu pana Afanasieff'a? — spytał ktoś z gapiów.

— O!... — pokazano mu gdzieś, już w odległości półtora kilometra, szybko oddalający się punkcik.

— Dwieście franków temu, kto ich dogoni! — zawołał Amadeusz.

Zebrani marynarze pokręcili przecząco głowami.

— „Meduza“ — to najszybsza motorówka nietylko tu, ale i na całym brzegu. Nic pan nie zwojuje, w najlepszym razie niech pan telefonuje do policji, to może ich przychwycą w Nicei.

— Co się dzieje? — spytał hr. Paweł, który nareszcie zdołał dotrzeć do Amadeusza.

— Niema czasu na wyjaśnienia, a raczej dam ci je po drodze. Gdzie jest panna Mary? Zaraz ją znajdziemy, bo i jej głos jest nam potrzebny. Uff... ale zmęczyłem się



porządnie... Wyobraź sobie, że ten drań zamknął mnie w łazience. Naturalnie rozwalilem drzwi, ale to zabrało trochę czasu... zresztą, o to mu tylko chodziło.

Dochodzili do tarasu, naprzeciwko wybiegła Mary, nie zdążyła jeszcze pytać, gdy Amadeusz rozpoczął:

— Niech sobie pani wyobrazi, że dziś postanowiłem nieodwołalnie przychwycić go na gorącym uczynku otwierania pani poczty. Byłem tego pewny jeszcze wczoraj, gdy Paweł powtórzył mi treść rozmowy z panią.

— Otóż, zaczaiwszy się za rozpostartą gazetą, w której kinowym sposobem zrobiłem otwór, czekałem w czytelnym. Koło wpół do pierwszej przyszedł jak zwykle listonosz. Przy podziale listów Żulin (pani wie, że to Żulin, a nie żaden Afanasieff) zabrał pocztę pani i poszedł, jak to przypuszczałem, nie na taras, gdzie pani była, ale do siebie...

— Garson, — zwrócił się do lokaja, który ich minął we drzwiach pensjonatu, — w ciągu dziesięciu minut muszę mieć najszybsze auto, jakie jest w miejscowości, rachunek za dni spędzone w „Athene“ i spakowane rzeczy moje i pana hrabiego.

— Wyjeżdżamy? — spytał Paweł.

— Jedziemy razem do Nicei, a potem może i dalej, nic narazie nie wiadomo. Ale nie przerywaj... Otóż, proszę pani, oni zajmowali dwa pokoje, tak jak ja z Pawłem, podzielone pokojem kąpielowym. Skoro więc Żulin

wszedł do swojego, sprawdziłem, czy madame niema i przedostałem się do łazienki. Stamtąd przez uchylone drzwi mogłem obserwować wszystko.

— Afanasieff otworzył jeden z listów, przeczytał go, a następnie, umieściwszy w ramce z gumowych tasemek, przypiętych pluskiewkami na szafie, rozpoczął przygotowywać zdjęcie fotograficzne.

— W tej chwili widocznie weszła do swego pokoju madame Afanasieff i, spostrzegłszy moją obecność, nie słychanie cicho zdołała przekrócić klucz w zamku łazienki. Następnie, korytarzem, weszła do pokoju męża i zaczęli coś z sobą szeptać... W pewnym momencie Afanasieff, bez okazania najmniejszego zdenerwowania, podszedł do moich drzwi i nagłym ruchem zatrzaskał je, przekręcając jednocześnie klucz w zamku. Byłem uwięziony. Co się dalej stało nie wiem, gdyż dopiero po wydostaniu się z zasadzki nawiązałem kontakt z wypadkami.

— Oto, proszę, — Amadeusz otworzył szeroko drzwi do pokoju, zajmowanego przez Żulina.

Widać tam było ślady szybkiego pakowania najważniejszych rzeczy, gdyż walizy stały pół otwarte. Energetyczne szturmowanie Amadeusza musiało skłonić Żulina do heroicznej decyzji porzucenia waliz. Na stole stał jeszcze aparat, a na szafie wisiał przygotowany do zdjęcia list.



Mary chwyciła papier...

Był to, ni mniej ni więcej, tylko dokładny opis wypadków, związanych z zepsuciem maszyneryj wewnętrznej Platanusa, list kończył się wezwaniem:

„Jedynym człowiekiem, który posiada plany konstrukcyjne jest syn wynalazcy, pretendent Mściwoj XII; stosownie do ścisłych informacji, posiadanych przez nasze ministerstwo spraw zagranicznych przebywa on obecnie w Londynie.

„Moje dziecko, musisz się tam udać niezwłocznie i zrobić tak jakoś, by zabrał z sobą plany i przyjechał tu do nas. Jeśli tego nie zrobisz, jestem poprostu zgubiony. Misja jest niesłychanie delikatna i kogo innego prócz Ciebie bałbym się wtajemniczać w to wszystko.

*Twój ojciec*“.

„P. S. Na granicy oczekiwać będzie rtm. Bergen z paszportem dla Mściwoja“.

— Cóż my teraz zrobimy? — spytała Mary.

— Bardzo proste. Ponieważ pani wie lepiej od ministerstwa spraw zagranicznych, gdzie aktualnie przebywa Mściwoj XII, — żartował Paweł, — nie pozostaje nic innego, jak zwrócić się do niego z odpowiednią prośbą, a on...

— A on pójdzie natychmiast pakować swoje walizy, — dokończył Amadeusz. — Pani też jedzie z nami.

— Ja?

— Naturalnie! Po pierwsze, musimy natychmiast dowiedzieć się w Nicei co robi Żulin, a po drugie, jedziemy do Platanji, oczywiście zabrawszy z Londynu, gdzie po drodze wstąpimy, potrzebne plany z mieszkania Pawła.

— Jak pan to pysznie zaprojektował, ale ja się muszę zastanowić!

— Nad czym?

— ?!... rzeczywiście pomysł pana jest dobry, — i wybiegła z pokoju.

Decyzja wyjazdu Mary opóźniła naturalnie wyjazd o jakieś piętnaście minut, gdyż panna musiała się zapakować, zapłacić rachunek i załatwić parę innych ważnych spraw...

Gdy nareszcie znaleźli się w samochodzie, Amadeusz polecił jechać jak najprędzej do portu w Nicei.

Osiemnaście kilometrów gładkiej, jak stół, drogi przebyto w jeden moment.

W porcie, niestety, oczekiwała naszą trójkę smutna nowina. Istotnie, przed kilkunastu minutami przybyła tu motorówka, ale pasażerowie dawno już odjechali.

— Gdzie?

— Zdaje się, w kierunku lotniska.

— Prędko na lotnisko! — Auto poderwało się znów z miejsca.



— Owszem byli, byli, — odpowiedziano uprzejmie, — ale właśnie. — Trrrr... mmmmm... rrrrr... mmmmm... huk motoru, przelatującego nad budynkiem kapitanatu portu lotniczego, przerwał rozmowę — Właśnie oni! Tak...

— Trzymajcie, — chciał krzyknąć Amadeusz, — ale w ostatniej chwili poczuł komizm tego zwrotu. — Czy nie macie jakiegoś innego aparatu, którymby można było ich dogonić?

— Gdzie oni pojechali? — spytała Mary.

— Tak, tak, przedewszystkiem, gdzie pojechali? — powtórzyli razem obaj mężczyźni.

Urzędnika ruchu na lotnisku oszołomiły te pytania.

— Zaraz, zaraz. Oni pojechali gdzieś daleko, w każdym razie przypuszczalnie będą lądować w Le Bourget. Ale właściwie, gdyby chcieli mogliby jechać dwa razy dalej... Jest to aerotaksówka, którą wynajmujemy na godziny i nic nas nie obchodzi, gdzie pasażer jedzie. Czy mamy drugi aparat? Niestety nie, a właściwie mamy, ale już poprzednio odleciał do Marsylji.

— Cóż my teraz pocniemy? — spytała Mary.

— Mają państwo za dwie godziny normalny aerobus do Paryża.

— Trzy miejsca dla nas, — zdecydował Amadeusz, — a teraz chodźmy coś zjeść, gdyż uważam dzień, w którym nie jadłem śniadania za stracony w mem ży-

ciu, — zakończył, parafrazując znane powiedzenie St. Mackiewicza o kobietach.

W czasie śniadania Amadeusz uzyskał połączenie ze swoją redakcją i prosił jednego z kolegów, który miał rozległe stosunki na lotnisku w Le Bourget, by w czasie lądowania aparatu z Żulinem, władze, policja, czy wszystko jedno kto, zatrzymały parę uciekinierów, aż do jego przyjazdu. Panna Mary ze swej strony wysłała depeszę do ojca, że nawiązała już kontakt z wiadomą osobą i że powraca z potrzebnymi papierami.

Po śniadaniu Paweł uregulował przesłanie cięższych bagaży swoich i Mary pośpiesznym frachtem do granicy w Chrząższczyne, a następnie pojechali razem na lotnisko.

Należy podkreślić z uznaniem, że obaj mężczyźni nie napomknęli ani słowem kanclerzównie, że gdyby się w „Athene“ pośpieszyła cokolwiek, zdążonoby bez wątpienia na czas i przeszkodzono w odlocie Żulina z Nicei...

Stateczny, szesnasto-osobowy „Farman“ oczekiwał już, z pootwieranymi drzwiczkami lśniących kabin i przegrody, na przybycie pasażerów.

Podróż, jak podróż... „150 procent pewności, prędko, bez dymu, kurzu i niewygody“.

W Le Bourget czekał na nich przedstawiciel redakcji, poto, by dać im wiadomość zgoła niemiłą, że „Bre-



guet“, wiozący Żulina, rzucił tylko depeszę ciężarkową o kierunku lotu na Londyn, poczem wznosił się ponownie, świadcząc warkotem swego motoru aż nadto dobitnie, że wszystko i pod każdym względem działało w nim w porządku.

Połączenie lotnicze z Londynem było zaraz, to jest za trzy kwadransy. Ale w każdym razie ścigani zyskali już całe trzy godziny czasu, a może i więcej, licząc również szybkości przelotu małej zwinnej maszyny i solidnego, ale ciężkiego i niemrawego „Farmana“.

— Panno Mary, — spytał Paweł, — cóż pani dalej robi? Przypuszczam, że byłoby to zbyt męczące, by pani jechała dalej z nami, może więc pani zanocuje w Paryżu, a jutro rano damy znać, jak się skończył pościg. W każdym razie ja wyjmę plany z kasy w moim mieszkaniu i przyjadę zpowrotem.

Lecz Mary nie dała się panom zdystansować w wytrzymałości.

— Jadę z wami, — zawołała czupurnie, i żadne perswazyje nie potrafiły zmienić jej postanowienia.

Skok...

Nice... Paryż (le Bourget)

Drugi...

Paryż (le Bourget) ...Londyn (Craydon).

Przybywszy na miejsce, podzielono role. Amadeusz pojechał do policji, by zająć się odnalezieniem zbiegów,

Paweł zaś odwiózł Mary do hotelu, skąd udał się do swego mieszkania, by przygotować się do jutrzejszej podróży, wydać odpowiednie dyspozycje służbie, a zwłaszcza wydobyć z kasy plany Platanausa.

Służący, otwierając drzwi przed swym panem, mało co nie padł trupem ze zdziwienia.

— Co! Wasza Wysokość powrócił?!

— Tak, a cóż w tem nadzwyczajnego? — odparł Paweł, zdejmując rękawiczki.

— Nic — powtórzył lokaj, — ale tu był jeden pan i w imieniu jego wysokości załatwił jakieś sprawy z panem Franciszkiem.

Pan Franciszek był to stary kamerdyner, którego jeszcze Mściwoj XI przywiózł do Londynu po abdykacji.

— Jakie sprawy? — spytał zaniepokojony Paweł. —

— Nie wiem.

— Proś zaraz pana Franciszka do mnie, — rozkazał Paweł.

Coś niedobrego wisiało w powietrzu. Pan Franciszek, starowina, ozdobiony wielką ilością orderów i medali niższych stopni, oraz parą siwych faworytów, przyćlapał w swych flanelowych pantoflach, pokaszując z przerażenia.

— Cóż tu się działo, panie Franciszku? — spytał Paweł.

— Jego Wysokość przysłać raczył ze swym odręcz-



nie napisanym biletem pana hrabiego de St. Julien. Pan hrabia w imieniu Jego Wysokości zwrócił się do mnie, bym mu niezwłocznie wydał papiery i rysunki, które Jego Królewska Mość ś. p. Mściwoj XI pozostawić raczył po tej maszynie, którą budowano u nas. Niestety papiery były zamknięte w szafie żelaznej i mimo wyraźnych rozkazów wydać ich nie byłem w stanie, — tłumaczył się stary.

— Ależ to właśnie bardzo dobrze, panie Franciszku! — zawołał uradowany Paweł, któremu w pierwszej chwili relacja kamerdynera aż zaparła dech w piersiach.

Kamerdyner oparł się o brzeg stołu i patrząc w oczy Mściwojowi XII zapytał drżącym głosem:

— Więc to był oszust?

— Naturalnie.

— A ja, — powoli wykrztusił kamerdyner, — a ja, szukając czemby dogodzić życzeniu jego Wysokości, wydałem temu człowiekowi wszystkie części i aparaty, które pozostały w dużym kufrze.

Mściwoj XII gwizdnął przeciągle, co mu się zdarzyło dopiero drugi raz w życiu...

#### XIV.

#### PAWEŁ I MARJA.

Po niemiłym odkryciu, którego dokonał hr. Mestwin po powrocie w swoim mieszkaniu, mimo spóźnionej pory okazało się koniecznem zwołanie narady dla ustalenia planów na dzień następnny.

— Nie ulega wątpliwości, — oświadczył Amadeusz, po wysłuchaniu relacji o zdarzeniach, — że Zulin będzie chciał sprzedać swoją zdobycz rządowi Platanji. Mielibyśmy więc pewność, że części Platanusa nie zginą... Możliwem jest też, że ten sprytny bandyta będzie chciał posunąć swą grę aż do szerszego szantażu, oferując swe usługi poszczególnym partjom opozycyjnym. Byłoby to bardzo niedogodne dla ojca pani.

Mary kiwnęła głową, aprobuując wywód genialnego feljetonisty.

— Więc co radzisz robić? — spytał hr. Mestwin.

Amadeusz zastanowił się chwilę, poruszając w charakterystyczny sposób wargami, jakby zatrzymywał, czy



przeżuwał nieukształtowane jeszcze słowa, poczem rozpoczął gestykulować władczo wielkim palcem:

— Najlepiej będzie tak: po pierwsze, rozdzielimy się. Ja będę tropił pana hrabiego de St. Julien, z którym mam zresztą prywatne porachunki za awanturę przed barem „Cacadu“, a wy, moi państwo, zabierzecie plany i uważając dobrze, by wam ich Żulin, lub jego wspólnicy nie ukradli, pojedziecie do Platanji. Przypuszczam, że tam się niedługo spotkamy...

Po krótkiej dyskusji plan ten został przyjęty.

— Każ komuś ze służby zamówić dla siebie miejsce na lotnisku, powinni mieć dyżur przez całą dobę, — powiedział, żegnając się, Amadeusz.

— Wiesz, nie, czuję się zmęczony. Pojedziemy raczej pociągiem, — księżę pretendent uznał za słuszne zostawić dla siebie chociaż część niezależności w stosunku do imperatywnego przyjaciela.

— Rób jak chcesz. W takim razie dowidzenia.

Towarzystwo rozeszło się, by nabrać sił na jutrzejsze zmagania z przeciwnościami losu...

Myliłby się zasadniczo ten, kto by przypuszczał, że hrabia Paweł Mestwin, onże Mściwoj XII, ot tak, dla dogodzenia własnej fantazji, wybrał koła zamiast skrzydeł. O nie!

Mściwoj XII, mimo pozorów lekkomyślności, był dobrym kalkulatorem i obliczył sobie dokładnie, że aero-

plan leci dziesięć godzin, a pociąg idzie trzydzieści dwie. Wobec czego postanowił zapisać sobie okrągłe dwadzieścia godzin na przychód i spędzić je w przemiłym towarzystwie panny Mary.

Nie lubię scen czułych. Bezsensownymi wydają mi się te nieszczęśliwie wypłowiałe zwroty:

*„On jej spojrzal w oczy...  
Ona westchnęła smutnie,  
Ona spojrzala na niego...  
On wziął delikatnie jej rękę,  
Usta ich złączyły się“...*

...Orkiestra gra tusz...

Brrr..., a jednak to tak było!... Boże kochany, kiedy nareszcie ludzie unowocześnią metody wzajemnego wzdychania i brania się za rękę?!...

A więc naprzód ona powiedziała, że bardzo jej jest przykro, że harmonja jaka między niemi powstała psuje się tak łatwo...

— Dlaczego? — spytał Paweł.

— Bo pan traktuje mnie niepoważnie...

Przysięgi, że nie, i krótkie exposé o wrażeniu przy pierwszym spotkaniu...

Potem warjacje na tematy z aforyzmu „co nagle, to po djable“, zakończone finałem „prędko, albo nigdy“.



Przyspieszone bicie serc w akompanjamencie szeregu terminów, jak „na wieki“, „całe życie“ i t. p., przerwane pukaniem do przedziału i meldunkiem konduktora, że „podajemy śniadanie w wagonie restauracyjnym“...

Potem kieliszek wina za pomyślność naszą i waszą... a potem rozmowa: „jak to będzie“, aż do samej granicy.

Na granicy tymczasem czekały Pawła i Mary pierwsze nieprzyjemności. Mimo, że rtm. hr. Bergen miał się znajdować w Chrząszczyńcu, poszukiwania na dworcu nie dały rezultatu.

Co gorzej, policja graniczna, mimo interwencji córki kanclerza, zaczęła coraz to natarczywiej domagać się paszportu od Mściwoja. Było źle. Ustawa o „ochronie republiki“ obowiązywała w dalszym ciągu i Pawłowi groziły jak najprzykrzejsze konsekwencje.

Wiedziona pierwszym impulsem, Mary chciała telefonować do ojca, ale w ostatniej chwili porzuciła ten zamiar ze względu na niebezpieczeństwo „podśluchu“...

W międzyczasie pociąg naturalnie poszedł sobie...

Policjanci graniczni dawali niedwuznacznie do zrozumienia, że w zgubiony paszport tajemniczego pasażera wierzyć niedługo przestaną i że, bez względu na osobę córki kanclerza, będą zmuszeni aresztować go, jak zwykłego wagabondę...

Szczęściem, następnym pociągiem, który nadszedł,

przyjechał dobry znajomy Mary, pełniący obowiązki pierwszego sekretarza ambasady w Bernie.

Dygnitarz, wtajemniczony przez Mary w trudności paszportowe Pawła, zaręczył przed lokalnymi władzami wagą swej urzędowej osoby, dzięki czemu, po stracie dalszych czterech godzin, ruszyli ku stolicy Platanji.

Zdziwienie kanclerza Siwca nie miało granic, gdy po przyjeździe Mary opowiedziała mu, że hr. Mestwin przyjechał z nią, stosownie do instrukcji, i przebiera się właśnie w hotelu Excelsior.

— Nic nie rozumiem! — zawołał. — Przecież wczoraj rano przyjechał Mściwoj XII aeroplanem z Londynu. Przyjechał, przywiózłszy z sobą części potrzebne do naprawy Platanusa. Naturalnie dałem niezwłocznie znać Bergenowi, by wracał.

— Ależ, ojczulku, Mściwoj prawdziwy przyjechał ze mną, — Mary nie wyjawiała treści tajnych załączników do tej podróży. — Ten człowiek, który przybył wczoraj, to na pewno jest Żulin, który okradł mieszkanie hrabiego Mestwina i zabrał z sobą części do naprawy Platanusa.

— Wiesz, to możliwe... Ale to pewne nawet, — przyznał po chwili namysłu Siwiec, — od pierwszego momentu uderzyło mnie, że ten Mściwoj, a właściwie Żulin, jak go nazywasz, starał się załatwić interes jak najprędzej, sprzedając nam za horendalnie wysoką sumę



poprostu części zapasowe. Pośpiech z jakim to wszystko było robione do tego stopnia był podejrzany, że odłożyłem decyzję do dzisiaj. No zobaczymy, jak to jest, bo Żulin powinien niedługo przyjść po odpowiedź... Słuchaj, a czy ty jesteś aby pewna, który z nich jest prawdziwy, a który podrabiany...

A gdy Mary z całą stanowczością potwierdziła jeszcze raz autentyczność Mestwina, Siwiec udał się do swego gabinetu, gdzie po pół godzinie dyżurny sekretarz zameldował:

„Hrabiego Pawła Mestwina ....w sprawie osobistej“.

Tym razem był to autentyczny Mściwoj. Narada z Siwcem trwała krótko. Plany konstrukcyjne miał Paweł przy sobie, wobec czego obaj panowie udali się samochodem na zamek, by przystąpić niezwłocznie do naprawy Platanusa.

Wykresy i fotografie, znajdujące się w teczce, opieczątowanej własnoręcznie przez konstruktora, dawały pełny obraz wewnętrznej budowy automatu. Zapoznawszy się z nimi, jak mu się zdawało gruntownie, hr. Mestwin w towarzystwie szefa kancelarii cywilnej przystąpił do rozmontowywania zepsutego kalendarza zegarowego razem z przewodem do konstytucyjnych regestrów. Pomagał im mechanik zamkowy. Niestety okazało się, że widocznie wykresy nie były zupełnie do-

kładne, gdyż maszyna mimo całej skomplikowanej dłubaniny nie chciała funkcjonować.

— Po co właściwie tracimy czas i męczymy się bezużytecznie — powiedział w pewnej chwili Siwiec, który jakkolwiek siedział cały czas w fotelu, uważał się jednak słusznie czy niesłusznie za najważniejszego współuczestnika akcji, — czy nie byłoby prościej kazać policji aresztować Żulina i odebrać od niego zapasowe części. I zamiast męczyć się nad reparacją wstawić poprostu zamiast zepsutego nowy zegar?

— Prawda, — zgodził się szef kancelarii.

— A gdzie mieszka Żulin? — spytał Paweł.

Siwiec podszedł do telefonu i połączył się z sekretarjatem urzędu kanclerskiego.

— Halo! Sekretarjat?

— Tak!

— Tu Siwiec.

— A tu szach perski, — odpowiedział sekretarz.

— Co to za kpiny! — krzyknął kanclerz.

Okazało się, że korzystając z parogodzinnej nieobecności szefa, sekretarze urządzili sobie zabawę, mistyfikując się wzajemnie i podając przez telefon szumne tytuły zakończone wesołym PRIMA APRILIS.

Po wyjaśnieniu tego drobnego, a niemilego dla sekretarza nieporozumienia, wydostano gdzieś z głębokości skorowidzów adres fałszywego Mściwoja.



Kanclerz wydał stosowne dyrektywy i po upływie godziny auto policyjne z kilkoma wywiadowcami udało się w kierunku dzielnicy staromiejskiej, by pojmać niebezpiecznego oszusta. Do wyprawy przyłączył się hr. Mestwin, który chciał za wszelką cenę, jak najprędzej dostać w swe ręce potrzebne przybory. Dla bezpieczeństwa towarzyszył hrabiemu rtm. Bergen po cywilnemu, rozczulony widokiem latorośli byłego domu panującego.

„Hotel Brukselski“ mieścił się na trzecim i czwartym piętrze bardzo brudnej kamienicy. Właściwie był to nie hotel, ale zwyczajna mordownia, gdzie ludzie przychodzą po to by się strzelać, nie zapłaciwszy rachunku, albo dać się okradać, na tak zwany podchód, polegający na systemie pluszowych kotar i cicho otwierających się drzwi pomiędzy pokojami.

Właściciel, czy też portjer, bardzo wypomadowany pan, na widok policji uklonił się uprzejmie i niepytany wyciągnął książkę meldunkową.

— Wszystko w porządku, — powiedział, szczerząc bardzo białe zęby.

— To zobaczymy! — komisarz, prowadzący obławę, zaczął przerzucać lekko brudne kartki.

— Jest kto obcy? — spytał.

— Sami swoi, — portjer uśmiechnął się, — było paru gości, ale już wyszli.

— Zobaczymy, dawaj pan klucze! — rozkazał komisarz.

Policjanci udali się na piętro. Rotm. Bergen z Pawłem pozostali w portjerni.

Wtem z górnego piętra rozległ się gwizdek, będący sygnałem dla wywiadowców pozostawionych na podwórzu, by mieli się na baczności. Wśród stukania kroków słychać było głos komisarza.

— Otwieraj pan, bo każę drzwi wyważyć!

Mimo całej niedostojności takiego kroku hr. Paweł i rtm. Bergen, nie mogąc się oprzeć ciekawości, poszli na górę. A było co oglądać...

Komisarz walił kolbą rewolweru w drzwi pokoju 24, wykrzykując setki pogróżek w kierunku zamkniętego w nim, jak należało przypuszczać, Żulina. Wywiadowcy robili przygotowania do szturm. Nieszczęsny portjer próbował perswadować jak umiał.

— Panie naczelniku, jak pragnę Boga, gość wyjechał już przed dobrą godziną.

— A to co? — warknął komisarz.

Istotnie z zamkniętego pokoju dobywały się jakieś stuki i nieartykułowane łomoty.

— Nie wiem, panie komisarzu, — portjer rozpoczął dobierać klucze. Ale okazało się, że to co pierwotnie wzięto za klucz tkwiący od wnętrza, było klinikiem, którym umiejętnie zagwożdżono zamek.



— Walić, — rozkazał komisarz. I wywiadowcy podparli plecami.

— Raz... Ehh! jeszcze raz...

Drzwi z trzaskiem wypadły z zawiasów. Komisarz i wywiadowcy z rewolwerami w ręku wpadli do pokoju. Pokój na pierwszy rzut oka był pusty. Jedyne z alkowy, osłoniętej pluszową kotarą (patrz podchód) gdzie stało łóżko, słychać było jakieś szmery.

— Wyłaź, bo strzelam! — krzyknął komisarz.

N i c.

Jeden z wywiadowców szarpnął kotarą, zrywając ją razem z drewnianą ramą na podłogę.

Na łóżku leżał człowiek, okręcony pieczołowicie kołdrą, z której wystawały jedynie nogi w brązowych półbucikach.

— Dość tych żartów, wstawać! — powiedział komisarz, zbliżając się do łóżka. Człowiek na łóżku szarpnął się, jak ryba, którą przed ogłuszeniem zawinięto w serwetę, by się nie ślizgała — przy ruchu tym kołdra zsunęła mu się z twarzy.

— A m a d e u s z! — zawołał hr. Mestwin, podbiegając ku przyjacielowi, — a ty skąd się wziąłeś?

Policjanci rozwiązali ręczniki i sznurki, którymi został spowity feljetonista, poczem przystąpiono do wysłuchania pierwszej relacji.

Amadeusz pienił się poprostu.

— No, niech ja go dostanę. Wyobraźcie sobie, że przyjechałem krok w krok idąc, właściwie lecąc za nim. Dziś przed jakiemiś dwoma godzinami wykonałem generalny atak i już myślałem, że go mam w rękę, a tu tymczasem, wprost przeciwnie, on okazał się silniejszy fizycznie odemnie, schwycił mnie, związał, zaknebłował i spakowawszy manatki wyprowadził się gdzie indziej.

— Więc nie przypuszczasz, by miał zamiar opuścić Platanję? — spytał hr. Paweł.

— O, na pewno nie, przecież ciągle jeszcze ma zamiar spieniężyć swoją zdobycz. Zresztą i tak, i tak złapię go niezawodnie. No, ale chodźmy już stąd, bo nie mamy już nic do roboty.

Przyjaciele w towarzystwie rtm. Bergena odjechali zpowrotem, zaś komisarz z wywiadowcami zajął się dochodzeniem, gdzie się mógł podziąć Żulin.



## LUDZIE KANAŁÓW.

Przypuszczenia Amadeusza, że Żulin zmieni tylko kryjówkę, a pozostając na miejscu będzie usiłował dalej spieniężyć części zamienne Platanusa, okazały się słuszne.

Jeszcze wieczorem tego samego dnia kanclerz Siwiec otrzymał list, w którym oszust, obecnie już we własnym imieniu, stawiał rządowi republiki propozycję sprzedaży brakujących części.

Dla zmylenia śladów Żulin żądał odpowiedzi do Berlina na poste- restante dla pani St. Julien. Na Berlin też projektował dokonanie wpłaty, po dokonaniu której przesłałby pocztą aparaturę.

List kończył się pogrózką:

„W razie, gdyby Wasza Ekscelencja nie uważała za słuszne zgodzić się na moje propozycje, będę zmuszony poczynić kroki, by powstał nowy rząd w Platanji, z którym łatwiej mi będzie ten tak prosty interes załatwić“.

Groźba ta była jasna... Żulin miał najwidoczniej na

myśli rewelacje wobec opozycji. Trzeba było decydować bez dalszej zwłoki.

Kanclerz Siwiec, który ze zrozumiałych względów skłaniał się już do takiego rozwiązania, spotkał niespodziewany opór ze strony Amadeusza.

— Wasza Ekscelencjo, — powiedział genjalny feljetonista, — czułbym się unieszczęśliwiony na całe życie, biorąc udział w awanturze, któraby się skończyła w sposób tak wulgarny. Ekscelencjo, proszę, błagam, zaklinam o trzy dni czasu, po których, jeśli nie znajdzie Żulina, będzie pan mógł robić dalej wszystko, co się panu tylko podoba.

Kanclerz przychylił się do pełnej patosu prośby Amadeusza i były król Humba-Jumba udał się na poszukiwania, które tym razem zakończone byłyby na pewno pomyślnym skutkiem, gdyby...

Szofer Feluś, dzielny kierowca taksówki Nr. 1472 nie miał dnia trzeciego kwietnia imienin kolegi. Może to nawet nie były imieniny, a urodziny, gdyż kolegę wolano poprostu „Chudy“ i nikt nie interesował się nigdy, jak miał naprawdę na imię, dość, że Feluś był na imieninach, czy też urodzinach i wypił na nich po szoferku.

Gdy odwieziono Felusia do domu w stanie gotowym, przypomniał sobie dzielny mistrz kierownicy, że zostawił w warsztacie reparacyjnym na stole oliwiarękę.



— U mnie musi być porządek, — powiedział, i ubrawszy się siadł do maszyny, zapuścił, zatrąbił, zaczępił lekko o bramę, ale wyjechał na miasto.

Ujechawszy kilkaset kroków Feluś zapomniał pocojedzie, wobec czego zatrzymał wóz i począł się rozglądać za jakąś dobrą duszą, któraby mu dała odpowiednią wskazówkę.

W tym samym momencie na trotuarze pojawił się jakiś pan z dość dużą walizką.

— Wolny? — spytał Felusia.

— Wolny, — odpowiedział Feluś.

— To jedź pan prędko tam, a tam, bo mi się śpieszy.

Gdzie, to nawet Feluś nie słyszał, wiedział tylko że prędko. Zatrąbił więc tylko, zawałił gazu i pojechał na sześćdziesiątkę, jak się patrzy.

Po chwili pasażer zaczął pukać w szybę i wołać:

— Na prawo... na prawo...

Feluś jak usłyszał, że pasażer woła, pomyślał sobie, że wolno... i dalej gazu. A potem mu się zdawało, że wyminie i pomylił się, nie więcej jak o palec.

Feluś ma dobre oko..., a teraz zaczępił..., awantura, protokół, policja...

Policjant chce, by pasażer poszedł do komisarjatu na świadka, a pasażer chaps za walizkę i w nogi.

— Ej, panie ładny, czekaj pan, czekaj...

Pasażer chodu, Feluś za nim. Biegnie publika, policja i Feluś... Feluś najpierwszy. Wreszcie dopadł, łaps za walizkę... Pasażer zostawił walizkę i dalej chodu...

W ten sposób Feluś odzyskał części Platanusa i mimo, że rozbił szybę, błotnik i latarnię, a sam pogniół na szmelc ochraniacze, nie odebrano mu prawa jazdy, ani nawet kary nie zapłacił, a tylko mu powiedzieli w komisarjacie, żeby oliwiarki szukał rano, jak się prześni, czemu w gruncie rzeczy musiał przyznać rację.

Ucieczką Żulina, z chwilą gdy mu odebrano części zapasowe, przestano się zajmować, z wyjątkiem oczywiście Amadeusza, który ze złym ogniem w oczach twierdził uparcie, że jeszcze będzie miał sposobność porozmawiać z tym przeklętym typem.

Hrabia Mestwin nie słuchając wywodów przyjaciela zabrał się zaraz do roboty.

A był już czas najwyższy.

Niewiadomo w jaki sposób, gdyż wszyscy naprawdę wtajemniczeni utrzymywali dyskrecję, ale pogłoski o uszkodzeniu automatycznego prezydenta zaczęły stopniowo przesiąkać na miasto, budząc zrozumiały niepokój.

Jak syndetikon lepka, jak benzyna przenikliwa jest plotka. Mówiono więc z podaniem osób i dat, że Platanus został wywieziony przez agentów obcego mocarstwa i że obecnie na zamku rolę władzy naczelnej sprawuje



„ż y w y“ człowiek, udając jedynie maszynę; miał to być pewien aktor z komedji.

Inna znów wersja, niemniej dokładna, twierdziła uparcie, że Platanus odmówił podpisu jakiegoś dokumentu, wobec czego kanclerz Siwiec w przystępie najwyższej złości ułamał mu rękę.

W mieście panował stan podniecenia mimo wszelkich perswazyj i uspokojień.

Najgorzej zaś było z „ludźmi kanałów“. Ludzie kanałów byli to pracownicy miejscy, zatrudnieni przy kanalizacji. Wobec jednak specjalnie trudnych warunków terenowych miasta i często szerzących się epidemij, zdobyto się jeszcze za rządów Mściwoja XI na akt doniosły, wybudowano przy ogromnym nakładzie środków jak gdyby całe miasto podziemne, połączone arterjami olbrzymich sklepień z betonem i tym sposobem doprowadzono stan sanitarny stolicy do porządku.

Oczywista rzecz, że tak wielkie instalacje, gdyż do tego przyłączyły się stacje oczyszczania, spalania i dezynfekcji ścieków, wymagały armji pracowników.

Architekt, budujący urządzenia, stworzył w rejonach wielkich kolektorów podziemne koszary robotnicze, w których robotnicy mieli mieszkać zasadniczo okresowo, posiadając dla swych rodzin wzorowe sadyby w żywicznym lesie. Z biegiem czasu jednak projekt zwyrodniał. Na wzorowy ogród-miasto nie starczyło pieniędzy

dzy i przyciśnięci nędzą mieszkaniową robotnicy poczęli się gnieździć w podziemiach, wraz z rodzinami i stopniowo doszło do tego, że ludzie kanałów rodzili się, żyli i umierali wśród mrocznych załamów i żarzących się lamp elektrycznych, wychodząc rzadko na światło dzienne.

Było ich dużo... miasto było ogromne... Było ich dużo więcej, niż sto tysięcy...

W czarnym tłumie powstała cała nowa, dziwna, obca psychologja podziemi. Pozbawieni światła i powietrza, żyjąc wiecznie w zgniętej atmosferze, ludzie ci nauczyli się rozróżniać wszelkie przejawy życia powierzchni, świata górnego z tego, co im niesły ścieki... z odpadków.

...Płyną skórki od pomarańcz, pestki śliwek, głąby kapusty, wałą się przez głębokie klapy grudy śniegu pomieszane z pasemkami serpentyn lub konfetti, wiadomo: wiosna, lato, jesień, zima...

...Wszystko czem żyła góra spływało stopniowo do ciemnych oślizgłych jam. Poezja i zbrodnia, kwiaty i brunatne bryły krwi zaskrzepniętej — wszystko to przepływało przed podziemnymi ludźmi. Nikt w mieście jeszcze nie przed nimi skryć nie potrafił... chyba, żeby w piasku zagrzebał, ale gdzie wszędzie asfalty, granity, barjery...

Ludzie z góry wiedzieli, że ludzie z dołu znają ich,



znienawidzili ich też serdecznie i chętnie zamkniętoby hermetycznie klapy i wyjścia podziemne, napuszczono dopelna gazów, jak szczury... ale ludzie kanałów byli potrzebni, bez nich setki tysięcy tonn odchodów i brudów wielkiego miasta, walących się codziennie gdzieś nadół, uformowałyby zatory i zwały. Woda i szlam napęłniły zbiorniki, przepęłniły ujścia, załaly tunele, koleje podziemne, suteryny, piwnice, aż wreszcie zatopiłyby ulice miasta. Ludzie kanałów byli nieodzownie potrzebni.

Ludzie kanałów z tem wszystkiem byli dobrotliwi, mimo strasznych warunków istnienia. Nie buntowali się nigdy, czasem tylko powstawało u nich podniecenie w niewiadomy sposób, może na skutek wieloletniej obserwacji, z wód płynących wolno wysnuwali z konsystencji ścieków jakieś im tylko wiadome wnioski i wychodzili.

Najpierw pojedynczo, stopniowo, w ciągu paru dni, poprzedzających exodus, zaczynały się pojawiać w klapach na ulicach głowy w charakterystycznych ściśle przylegających czapkach, lub ręce w gumowych rękawicach, majstrujące coś bezpośrednio pod powierzchnią.

Po tych przygotowaniach nagle ze wszystkich wyłotów, klap i przewodów wydostawali się i zajmując powierzchnie placów i ulic, przeznaczonych dla ludzi powierzchni stawali, czekając odpowiedzi na niepokojące

pytanie, które ich zmusiło do opuszczenia podziemnego świata.

Nie niszczyli, nie bili, nie mówili nawet, ale już sam widok tych tłumów powodował większą ilość nagłych zgonów w mieście.

Esteci nazywali ich „hańbą na sumieniu cywilizacji“, „koniecznością społeczną“ nazywali ich ekonomici.

Ostatni raz widziano gromadnie ludzi kanałów przed abdykacją Mściwoja XI, nikt nie wiedział czy popierali ją, czy przeciwdziałać chcieli. Wyszli...

Kanclerz Siwec, gdy się zjawił w gabinecie, gdzie Paweł montował nowy kalendarz zegarowy Platanusa, miał minę zafrasowaną.

— Prosiłbym Waszą Wysokość o dołożenie wszelkich starań, by maszynerja mogła być jutro koło południa gotowa, — powiedział.

— Co się stało, czy jakiś termin państwowy?

— Nie, ale otrzymałem raport od szefa policji, że ludzie kanałów poruszyli się dzisiaj. Widziano ich wyglądających na przedmieściach, a przez szyby, któremi spuszczana jest żywność slychać dudnienie, jakby pszczoły miały się roić. Ludzie znający ich zwyczaję mówią, że najpóźniej jutro w południe powinni wyjść na powierzchnię. Pan rozumie, że w tych warunkach Platanus musi być gotów.



— Będę się starał. — Mściwoj XII przetarł zaczerwienione od pracy oczy. — Uszkodzenie okazało się jednak bardzo poważne, a tymczasem plany nie zupełnie pasują i do maszynerji i do zapasowych części. Przypuszczalnie ś. p. ojciec mój musiał w ostatniej niemal chwili wprowadzić jakieś ulepszenie, dzięki czemu obecnie są większe trudności, niż pierwotnie przypuszczałem. W każdym razie mam nadzieję, że jutro koło południa powinienem skończyć.

— I będzie działał po dawnemu? — spytał kanclerz.

— Tak z tą jednak tylko różnicą, że kalendarz zegarowy, który dotychczas poruszany był elektrycznością, obecnie będzie miał napęd sprężynowy, trzeba go będzie mniej więcej co trzy miesiące nakręcać kluczem.

— Chciałbym jednak spytać Jego Wysokość, — zaczął kanclerz — czego Wasza Wysokość żądać zamierza za zasługi oddane republice?

Mściwoj XII ruszył ramionami.

— Co? chyba tylko tego, byście go znowu nie zepsuli, gdyż połamałem sobie wszystkie paznogie przy tej reperacji... i...

— Przepraszam cię, — przerwał Amadeusz, przysłuchując się dotychczas milcząco rozmowie. — O, co to, to nie! Jesteś teraz zanadto zajęty, by myśleć o takich sprawach, proszę cię więc, byś odwołał swoją decyzję

i upoważnił mnie do pertraktacyj z panem kanclerzem. Proszę cię o to bardzo!

— Dobrze, — roześmiał się Paweł, — mianuję wobec tego jego wysokość Amadeusza, króla Humba, wielkiego księcia Mambu, generalnym reprezentantem moich interesów wobec rządu republiki. Co, zgoda?

— Zgoda, — odpowiedzieli obaj.

— A teraz idźcie się naradzać gdziekolwiek indziej, bo muszę przyznać, że rozmowa, nawet najmilsza, przeszkadza mi w robocie, a skoro ludzie kanałów zamierzają wyjść, musimy jutro być gotowi...

Paweł pracował całą noc bez przerwy i należało przypuszczać, że zdąży na termin.

Tymczasem Rząd, władze, policja, wszyscy, zajęci byli gorączkowymi przygotowaniem na spotkanie z ludźmi kanałów.

Zmobilizowano więc warty, oddziały i pogotowie.

Najgorszem było to, że nikt nie wiedział z jakimi żądaniem ludzie kanałów wyjdą na powierzchnię. Wobec tego trudnego zapytania stanął pierwszy szef kancelarii cywilnej Platanusa, gdy mu polecono przygotować tekst przemowy na wypadek gdyby delegacja „czarnych“, jak ich nazywano w skrócie, chciała się zgłosić na zamek.

By odpowiadać, trzeba znać zapytania... a nie znając ich...



Szef kancelarji przygotował szereg walków fonograficznych z różnemi tekstami, które miał zastosować zależnie od okoliczności.

Na tych przygotowaniach ubiegła noc.

Wczesny ranek przeszedł spokojnie. Kanclerz odbierał telefony, po ulicach miasta snuły się patrole, Paweł kończył przykręcać ostatnie śrubki...

Dopiero koło godziny dziewiątej niemal jednocześnie ze wszystkich punktów obserwacyjnych rozległy się dzwonki.

— Wyszli...

— Wyszli...

— Wyszli...

Kanclerz połączył się niezwłocznie z gabinetem Platana:

— Gotowe? — spytał.

— Za chwilę, starajcie się zatrzymać ich jak najdłużej, — brzmiała odpowiedź.

— Zatrzymajcie ich jak najdłużej. Rozstawić potrójne kordony policji na głównych arterjach, — rozkazał kanclerz ministrowi spraw wewnętrznych.

— Idą na przód! — zameldowali obserwatorzy. — Idą naprzód powoli, ale bez przerwy. Odrażająca woń, wyniesiona z podziemi przerwała kordony, zanim jeszcze zbliżyli się do policji... ludzie mdleją...

— Czy gotowe? — spytał znów kanclerz.

— Za chwileczkę. Zatrzymajcie jak najdłużej.

Kanclerz Siwiec w tym momencie postanowił osobiście interwenjować. Udał się więc na plac zamkowy, by tam oczekiwać manifestacji.

Ludzie kanałów szli już rzeczywiście. Szli powoli, ciężko, ociężali, trzymając się wzajemnie za ramiona, gdyż blask słońca oslepił ich prawie zupełnie. Idąc śpiewali pieśń, pieśń będącą raczej bardzo smutnym przeciągłym pomrukiem, nie mającą melodji... Słów tam nie było też..

— Czego chcecie, obywatele?! — zawołał Siwiec, stając u balustrady tarasów.

Tłumy stanęły...

— Słuszne postulaty pracowników rząd rozpatrzy z całą życzliwością — krzyczał dalej Siwiec bacznie obserwując efekty, jakie wywierały jego słowa.

— Chcemy — wie-dzieć!!!! — odpowiedział okrzyk tłumów.

— Niech wyjdzie delegacja, — rozkazał kanclerz, obliczając, że Mściwoj przypuszczalnie musiał już skończyć, lub kończy właśnie w tej chwili swoją robotę.

Z poszczególnych tysięcy, setek i grup wyszli delegaci, wyszli i zbili się razem, onieśmieleni, niepewni kierunku, przybici dostojeństwem miejsca.



— Proszę tędy... za mną — rozkazał Siwiec, stając na czele delegatów.

Krok za krokiem, idąc przez bramę, przez wspaniałe marmurowe schody, kanclerz Siwiec opóźniał pochód, chcąc zarobić jeszcze choć parę minut. Nie było to nawet potrzebne, gdyż ludzie kanałów, odurzeni powietrzem, ślizgając się po lustrzanych posadzkach, szli rzeczywiście niesłychanie wolno.

Lecz i to zdawało się za prędko kanclerzowi.

Ach, czemu nie zaprowadził ich dookoła, przez galerję mistrzów starożytnych, może tam zainteresowałiby się sztuką, literaturą, malarstwem, rzeźbą...

Tragiczny to był pochód. Siwcowi zdawało się chwilami, że nie stawia kroków, lecz że chodnik na rolkach toczy się z nim razem, a drzwi otwierają się same, jakby pod ciśnieniem sprężonego powietrza głębin, wyniesionego na powierzchnię w czarnym tłumie delegatów.

W końcu doszli do drzwi gabinetu... Przerażeni lokaje, w galowych frakach i białych krawatach, otwarli je naścież...

Siwiec spojrział do wnętrza.

Platanus siedział za biurkiem, przy nim, trzymając koniec elektrycznego przewodnika stał szef kancelarji cywilnej, dalej rotmistrz hr. Bergen, uśmiechnięty nie á propos...

Delegaci stanęli półkolem, zdjęwszy czapki. Zapa-

nowało milczenie, wreszcie jeden, przypuszczalnie najstarszy, powiedział:

„Chcieliśmy widzieć...“, i na tem zakończył przemowę.

Platanus wstał wtedy z fotela i wyciągnąwszy rękę wypowiedział:

— Witam przedstawicieli jednej z najcięższych gałęzi prac w państwie.

Mam nadzieję, że wszyscy na swych stanowiskach spełniać będą obowiązki, państwo zaś wszystkim zapewni możliwość bytu i rozwoju.

Siwiec z niepokojem spojrział na delegatów. Stali patrząc na Platanusa, wielu z nich miało łzy w oczach... Stali tak jeszcze długą chwilę, aż wreszcie, kłaniając się niezgrabnie, zaczęli wychodzić, nakładając zaraz za progiem czapki, przypominające lotnicze kominiarki.

Porządek w republice był ocalony...



XVI.

WSZYSTKO W PORZĄDKU.

(*Tempo di mazurka*).

Po upływie pół godziny nie było już śladu „czarnych“ na mieście. Zniknęli, jak się pojawili. Zapadli się w ziemię, w czeluści szybów i przewodów do podziemnych kanałów i budowli, gdzie wiodli swe pożyteczne życie.

Jako jedyny ślad ich wizyty uwijały się teraz po ulicach mechaniczne szczotki, polewaczki, zmywając żwawo cuchnący szlam wyniesiony na lśniące asfalty.

Korespondenci gazet zagranicznych wysłali w świat entuzjastyczne depesze, donoszące o potędze manifestacji, powadze, porządku i sprawności policji, która swym taktem umiała powstrzymać możliwe ekscesy.

Jedynie przedstawiciel Tass'a wyłamał się z tej solidarności, twierdząc, że „wyjście“ było skierowane przeciw republice rad.

Były to jednak wszystko detale niedostrzegalne prawie na marginesie wielkich faktów.

Fakty zaś same, jak ciemne chmury, zsuwały się szybko z widnokregu, zostawiając czysty horyzont... niezmierną arenę dla nowych układów sił, konfiguracji zadań i nieoczekiwanych wypadków.

Paweł hr. Mestwin stał w oknie, opiłowywując polamane przy robocie paznogie.

— A teraz, Pawle, — powiedział Amadeusz, — muszę ci zdać relację, jak wywiązałem się z misji powierzonej mi wczoraj.

— Jakiej? — spytał Paweł.

— Jakiej?! Twego honorarjum!

— Słucham cię.

— Otóż patrz, — i Amadeusz rozwinął spory rulon papieru. — Republika płańska zobowiązuje się w stosunku do ciebie:

1) znieść paragrafy ustawy, zabraniającej pobytu w kraju;

2) zwracają ci pałace, letni i zimowy, oraz wszelkie dobra i majątki skonfiskowane dynastji w czasie przewrotu;

3) otrzymujesz szefostwo honorowe pierwszego pułku ułanów;

4) listę cywilną, która zostanie ustalona osobno.

Za to obowiązany będziesz regularnie raz na trzy miesiące nakręcać kalendarz zegarowy Platanusa, którego klucz znajdować się będzie u ciebie.



— Jednym słowem będę szambelanem auto-prezydenta, — przerwał ze śmiechem Mściwoj XII.

— Tak — ciągnął dalej Amadeusz, — z tą tylko różnicą, że urząd twój będzie dożywotni, a następnie dziedziczny.

— Jednym słowem powrót dynastji, który mi zapowiadałeś w Paryżu.

— Tak, przypuszczam, że forma nie gra roli.

— Czy Wasza Wysokość zgodził się na punkty opracowane przez nas? — spytał kanclerz Siwiec, wchodząc do pokoju. — Bo jeżeli tak, to zwołamy niezwłocznie nadzwyczajną sesję i parlament, byle tylko posiedzenie nie odbywało się w sobotę, ratyfikuje wszystko.

— Dobrze, zgadzam się, panie kanclerzu, ale muszę panu powiedzieć jeszcze jedno żądanie, właściwie nie moje, a mego ojca. Znalazłem je, przeglądając wykresy. Niech pan patrzy. Przypuszczam, że ś. p. Mściwoj XI pisząc to, miał na myśli właśnie chwilę, którą przeżywamy obecnie.

„Żądaj odbudowania ujeżdżalni“.

— To jest absolutnie możliwe, — stwierdził spokojnie kanclerz.

— Nie, panie kanclerzu, byłem tam wczoraj w chwili wolnej od roboty, — powiedział wolno Paweł, — widziałem, że zrobiono tam bardzo ładny ogródek dla dzieci. Niech już tak zostanie. Prosiłbym jedynie o zbu-

dowanie na środku ogrodu popiersia Mściwoja XI, na postumencie nie nazbyt wysokim, tyle najwyżej, do-  
brem by było, by młodzi obywatele wzrastali, przyglądając się jego podobiznie. Był to umysł nawskróś filozoficzny, — dokończył.

Kanclerz zrobił gest potakujący.

— A teraz, panie kanclerzu, — powiedział tonem niezwykle uroczystym Mściwoj, — mam zaszczyt prosić go o rękę córki Marji.

Kanclerz zmarszczył brwi, jakby nie rozumiejąc w pierwszej chwili słów wygłoszonych, aż potem, wy-  
ciągnąwszy obie ręce do Pawła, zawołał:

— Tę cię czekał. No dobrze, dobrze... Jej nie pytam, bo i tak na pewno wszystko załatwione pomyślnie. Teraz już takie czasy. Ale czemu nie powiedzieliście tego wcześniej? Przecież za jednym zachodem można było całą ustawę o ochronie republiki włożyć do pieca i lu... do katedry... zrobiłoby się, zrobiłoby... Mam murowaną większość w Izbie, byle nie w sobotę.

— Na to ja bym nie poszedł, — Mściwoj uśmiechnął się wesoło, — korona rzecz sympatyczna, ale z drugiej strony musiałbym ustąpić z klubu „EX'ów, na co trudno mi byłoby się zdecydować.

— W każdym razie trzymam cię, przyszły zięciu, za słowo, że gdyby tak syn, to zrobię, jak Bóg na niebie, naturalnie byle nie w sobotę.



— Zegnam panów, — przerwał im Amadeusz.

— A ty gdzie znowu, — zdziwił się Paweł, — nie zostaniesz nawet na moich zaręczynach?

Amadeusz wyprostował się godnie.

— Zrobiłem ślub, przysiągłem na trzonowe zęby mojego prezesa rady ministrów w Humba-Jumba, wielkiego czarownika Ho-Maru, że nie spocznę dopóki nie złapię i nie zbiję akuratnie tego Żulina Afanassieff'a de St. Julien. Jak to nastąpi, to możecie mnie czekać z dobrą butelką umieszczoną w lodzie. A teraz dowidzenia...

Wykręcił się na pięcie...

— Ucałuj odemnie, albo wogóle, rączki panny Mary, — rozległo się za drzwiami...

I Mściwoj XII, sprawdzwszy czy ma w kieszonce kamizelki klucz od kalendarza zegarowego poszedł, prowadzony pod rękę przez kanclerza Siwca, w kierunku pokojów narzeczonej.

Zacząłem 8 lipca

Skończyłem 20 lipca 1930 r.

*Honny soi qui mal y pense.*



## WIELKI KONKURS Z NAGRODAMI.

W treści opowieści niniejszej został przez autora kunsztownie schowany *S e n s*.

Poszukiwanie *s e n s u* niniejszej opowieści jest zadaniem wielkiego Konkursu z nagrodami dla czytelników.

### NAGRODY:

- I. Zarzyckiej — „Dzikuska“.
- II. Bandrowskiego — „Kaden i Lenora“.
- III. Tuzin jajek Kolumba z monogramami Brunona Winawera.

### WARUNKI KONKURSU:

Odpowiedź należy w zamkniętych kopertach nadsyłać pod adresem:

Zarządu Klubu EX w Londynie.  
(Adres telegraficzny Ex-London, (na lewo).

### UWAGA:

Sensu można poszukiwać dwoma sposobami:

*Sposób pierwszy:* Podkreślić wszystkie „K“ w tekście i wyliczyć gdzie ta litera powtarza się najczęściej.

*Sposób drugi:* Spalić kartkę po kartce, odkładając popiół do ponumerowanych opłatków, lykając kolejno, zapijając najlepiej startką. W pewnym momencie ukryty *s e n s* okaże się przejrzyste.



JUŻ UKAZAŁA SIĘ NOWA POWIEŚĆ  
JULJUSZA GERMANA

## Jesień zwycięska

CENA ZŁ. 7.—.

Ta nowa powieść Juljusza Germana już podczas druku w feljtonach „Kurjera Warszawskiego“ wywołała najżywsze zainteresowanie. Pogodny, jasny optymizm, postacie postawione żywo, barwnie i ciekawie, świetne zalety stylu stawiają tę książkę w najpierwszym rzędzie współczesnych utworów powieściowych. Będzie ta książka cieszyć się niewątpliwie zasłużonym powodzeniem, jak wszystkie powieści autora pięknego „Jacka“ i „Jackowej doli“.

Poprzednio ukazały się:

HISTORJE O PAJACACH	Cena zł. 6.—
W GOSPODZIE POD TRZEMA ZBÓJAMI	Cena zł. 6.—
GWIAZDZISTA NOC	Cena zł. 8.—
USTA O ZMROKU	Cena zł. 4.50
JACEK, pow. o prześlicznym chłopcu	Cena zł. 8.—
JACKOWA DOLA	Cena zł. 10.—

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

Helena Mniszek

## Magnesy Serc

Cena Złotych 7.—

Najnowsza powieść autorki „Trędowatej“, zawierająca, jak wszystkie książki Mniszkówny, ciekawą fabułę, potoczysty dialog, wiele serca i rzetelną tendencję.

Tow. Wydawnicze „Rój“



JAMES JOYCE

PORTRET  
ARTYSTY

Cena Zł. 9.—

James Joyce, autor głośnej, zabronionej przez cenzurę amerykańską książki p. t. „Ulysses“, którą obszernie omawiał Boy w Kurjerze Porannym, jest najwybitniejszym pisarzem współczesnej Ameryki.

„Od dwu lat nazwisko Joyce'a tak wysunęło się na pierwszy plan w świecie literatury, jak w świecie nauki chyba tylko nazwiska Einsteina i Freuda“.

„La Nouvelle Revue Française“, Paryż.

H. G. WELLS pisze o „PORTRECIE ARTYSTY“:

„Tę książkę należy nabyć i przeczytać. Może ona rościć sobie prawo do zajęcia miejsca w literaturze w tym samym stopniu, co ostatnia księga „Podróż Gulliwer“.

Tow. Wydawnicze „Rój“

S Y G R Y D A U N D S E T

Nagroda Nobla 1928 r.

Sygryda Undset jest pierwszym pisarzem, który poświęcił całe życie studjowaniu kobiety.

M. Victor Vinde „Nouvelles Littéraires“.

WIOSNA

przekład

WANDY KRAGEN

CENA ZŁ. 8.—

„Książka ta posiada w najpełniejszej mierze to wszystko, co szczególnie cenimy w północnych literaturach: prawdę i przejrzystość, finezję myśli, czysty i głęboki ton uczuć, połot wyrazu. Jest to napisana z cudowną przenikliwością psychologiczną historia małżeńska, jakich istnieje może tysiące, ale z których żadna nie została opowiedziana w sposób tak istotny. Jakże świetnie charakteryzuje Sygryda Undset perypetje duchowe tych obojga nieboraków aż po ich najgłębsze, najboleśniej doznania, jak mistrzowsko modeluje ludzi i rzeczy, z jakim macierzyńskim zrozumieniem sekretów życia odwołuje się do czytelnika! Autorka budzi w nas nie tylko podziw, budzi uwielbienie dla siebie! Znajdują się w tej książce ustępy, które, gdy się je czyta, bezdenne grozą napęniają człowieka. Mało — zaiste — wyszło z pod pióra pisarek powieści równie delikatnych, a zarazem potężnych“.

„Augsburger Neueste Nachrichten.“

Poprzednio ukazała się:

Krystyna, córka Lawransa

CENA T. I/III ZŁ. 33.—

DALSZE POWIEŚCI W PRZYGOTOWANIU.  
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“



UPTON SINCLAIR

**B O S T O N**

przekład

**ANTONINY SOKOLICZ**

TOM IV. CENA ZŁ. 6.—

CAŁOŚĆ I/IV. CENA ZŁ. 22.—

Pisarz niezłomnej walki, który — zawsze na szanę — zwalcza krzywdy, tępi nadużycia i przygważdża wszelką obłudę.

*André Levinson, „Nouvelle Littéraires“.*

Nikt jeszcze tak wspaniale nie opisał zawrotnego tempa życia współczesnej Ameryki i nikt tak nieustraszenie nie obnażył całego zepsucia i deprawacji cywilizacji amerykańskiej.

*„Black Wood Magazine“.*

Poprzednio ukazały się:

**NAFTA**

Cena t. I/II. Zł. 18.—

**KRÓL WĘGIEL**

Cena zł. 12.—

**KATAKLIZM**

Cena Zł. 5.—

DALSZE POWIEŚCI W PRZYGOTOWANIU.  
**TOW. WYDAWNICZE „RÓJ“**

LEONARD FRANK

**BRAT i SIOSTRA**

Cena Zł. 5.—

Motto:

„Spójrzcie na lilje: czy nie wykwitają małżonek i małżonka z jednej łodygi? Czy nie łączy ich kwiat, który zrodził oboje? A nie jest że lilja niewinności wzorem, choć płodny jest siostrzany jej związek? Jeśli natura odrazę czuje, — tedy głośno to wypowiada.“

*Goethe.*

„Piękna, prawdziwym czarem subtelnej zmysłowości owiana książka. Trzeba być wielkim artystą, by tak szczęśliwie pokonać wszystkie trudności tematu — uczucia miłosnego między bratem i siostrą.“

*„Neue Freie Presse“.*

Tow. Wydawnicze „Rój“



**J. W. L O C K E**

Dziela Locke'a — to pogodna literatura, która nie operuje jednak taniemi środkami. Każda powieść Locke'a, to mądra, jasna, krzepiąca książka, to rasowa powieść pisarza narodu o starej i gruntownej kulturze.

## **WESOŁE PRZYGODY ARYSTYDESA PUJOLA**

CENA ZŁ. 8.—.

„Ta książka potrafi zakamieniałego pesymistę w jednej chwili uczynić najweselszym z ludzi, najentuzjastyczniejszym przyjacielem całego świata. Boki zrywaliśmy ze śmiechu, płakaliśmy jak dzieci“.

*Taller.*

## **ZBLISKA I ZDALEKA**

CENA zł. 5.—.

„By widzieć świat w takich barwach, trzeba samemu mieć piękną duszę.“

*The Quarterly.*

Poprzednio ukazały się:

KOCHANY ŁAZIK	Cena zł. 3.90
OBYCZAJE MARKA ORDEYNA	Cena zł. 8.—
SŁAWA KLEMENTYNY WING	Cena zł. 9.—
MOORDIUS I SKA	Cena zł. 9.—

DALSZE POWIEŚCI W PRZYGOTOWANIU.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“



16.000,-

Biblioteka Główna UMK



300020638069

643306

MM

209 -



Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

643306